



Barbara Cartland



Niezwykła żona

Od Autorki

Skupienie, spokój i pewność siebie to trzy przesłanki psychologiczne karate. Metoda walki przy użyciu gołych jedynie rąk była znana i rozpowszechniona zarówno w Indiach, jak i Chinach na długo przedtem, zanim Bodhidharma pojawił się w kraju nad Żółtą Rzeką w Roku Pańskim 520. Mimo to zyskał miano pierwszego krzewiciela zasad tej sztuki. Wykorzystując specjalną technikę oddychania, stworzył podwaliny pod ów legendarny system walki, w którym jedyną bronią są władze umysłu.

Kung-fu również powstała z inspiracji buddyjskiej i przez całe stulecia mnisi buddyjscy w Chinach i Japonii zgłębiali tajniki kempo. Ju-jitsu różni się od kung-fu tym tylko, że ciosy wymierza się nie zaciśniętą pięścią, lecz krawędzią dłoni. Ju-jitsu nie poświęca tyle uwagi psychologicznemu aspektowi walki co karate. Napis wyryty na pomniku Funakoshi, jednego z najsłynniejszych nauczycieli tej sztuki, głosi: „Karate - walka nieofensywna”.

Rozdział 1

Rok 1846

Hrabia Warnborough cisnął otwarte koperty na stół, wydając z siebie dźwięk do złudzenia przypominający przekleństwo:

- Rachunki! Rachunki! Ciągłe rachunki! - prychnął. - Czy w tym domu otrzymam kiedykolwiek cokolwiek innego?! Nie pojmuję, jak można wydawać tyle pieniędzy!

Rzucił żonie przez stół nieprzyjemne spojrzenie, lecz ona odrzekła spokojnie:

- Przykro mi, mój drogi. Staram się gospodarować oszczędnie, ale wszystko jest dzisiaj tak kosztowne.

- Nie pozostaje mi zatem nic innego - sarknął pan domu - jak stwierdzić, że starasz się bez powodzenia i że będę musiał pozbyć się ogarów.

Siedzące przy stole trzy córki hrabiego wykrzyknęły jednogłośnie:

- Och nie, papo! Tylko nie to!

- Nie mam innego wyjścia - oświadczył posępnie. - Co mam począć wobec niebywałych apetytów naszych koni, rosnących wydatków na utrzymanie domu i wobec tego, że wy, moje panny, z każdym dniem kosztujecie mnie drożej. Tak dalej być nie może.

- Byłeś dla mnie bardzo hojny, papo - odezwała się lady Mirabel, starsza córka. - Choć wiem, że zarazem skąpiłeś pieniędzy mamie, która przecież płaciła za moje suknie. Otóż dowiedz się, że Robert Warrington oświadczył mi się i gdy tylko skończy się czas jego żałoby, weźmiemy ślub.

Hrabia skwitował tę nowinę nikłym uśmiechem. Znał sytuację majątkową przyszłego zięcia. Pragnął jednak bardziej utytułowanego męża dla swej pięknej córki. Sir Robert był ledwie siódmym baronetem, ale za to człowiekiem niewiarygodnie majątnym. Zakochał się w Mirabel i byłby ją poślubił rok temu, gdyby nie żałoba po matce, zmarłej po długiej chorobie. Przesunął więc termin wesela o rok i już niebawem mieli się pobrać. Scena przy stole zelektryzowała dziewczynę: co będzie, jeżeli ojciec odmówi pieniędzy na kosztowną wyprawę ślubną, jaką obie z matką obmyśliły?

Hrabina, myśląc widocznie o tym samym co córka, powiedziała przymilnie:

- Jestem pewna, drogi mężu, że mądrość twoja wskaże ci wyjście z trudnej sytuacji. Sprawiłbyś ból dziewczętom, gdybyś pozbył się ogarów.

Wiedziała, że przede wszystkim sprawiłby ból sobie, ponieważ uwielbiał swoją sferę, którą odziedziczył po ojcu piętnaście lat temu i odtąd był jej panem. Stanowiła tak ważną część ich egzystencji, że żadna z osób siedzących przy stole nie mogła sobie wyobrazić Warne Park bez zjazdów myśliwskich, które odbywały się tu w każdym sezonie; ani bez balów, kiedy to sala taneczna wypełniała się eleganckimi mężczyznami i strojnymi kobietami; ani też bez myśliwskich śniadań, podczas których hrabia okazywał niezwykłą gościnność zarówno nowym myśliwym, jak i tym, którzy od lat przyjeżdżali na polowania.

- Musimy gospodarować nieco oszczędniej - oznajmił twardo. - Jeżeli sugerujesz, że powinienem sprzedać coś, co należy do wyposażenia domu, moja odpowiedź brzmi: „nie”. Zgodnie z prawem wszystko musi być zachowane dla Desmonda.

Ton jego głosu sprawił, że dziewczęta wymieniły znaczące spojrzenia i uśmiechy. Wiedziały, że Desmond jest „oczkiem w głowie” ojca. Trzeba więc przekonać papę, że za parę lat i tak zapragnie odzyskać psy, lepiej więc porobić oszczędności na czym innym.

Po gorzkim rozczarowaniu, jakim było przyjście na świat trzeciej córki zamiast gorąco upragnionego syna, hrabia stracił nadzieję, że doczeka się dziedzica. Gdy również jego żona nabrała pewności, że nie będzie miała więcej dzieci, zdarzył się nieomal cud: urodził się Desmond. Długo oczekiwany przez ojca, zawojował go od razu bez reszty. Choć liczył sobie teraz ledwie cztery lata i znajdował się pod opieką nianieki, był już przedmiotem dalekosiężnych ojcowskich planów. Po pierwsze - najznakomitszy college. Po drugie - najślynniejszy uniwersytet. A gdzież można znaleźć lepsze niż w Eton i Oksfordzie? Później, naturalnie po podróży dookoła świata „dla poszerzenia horyzontów” - jak z emfazą wyraził się hrabia, syn pomoże ojcu w zarządzaniu majątkiem, dopóki sam nie stanie się właścicielem.

Mirabel i Deirdre, jakby na dany sobie znak, odezwały się prawie jednocześnie:

- Ależ musisz zdać sobie sprawę, papo, że Desmond będzie chciał polować z własnymi psami. A gdy ty staniesz się niedołączny, on przejmie nad nimi pieczę.

Siedząca po przeciwnej stronie stołu lady Elmina zatrzepotała powiekami. Pojęła w lot, że siostry wygrały batalię. Bez jej udziału. Ojciec po prostu bardzo kochał swoje zwierzęta, troszczył się o nie przez okrągły rok, od sezonu do sezonu. Czowała, że - utyskując i narzekając - sprzedałby raczej ubrania zdjęte z własnych córek aniżeli częśćkę czegoś, co było dlań takie ważne. Podobnie zresztą jak i dla niej.

Hrabia, głęboko zawiedziony faktem, iż jego trzecie dziecko okazało się również dziewczynką, traktował Elminę inaczej niż starsze córki. Rozmawiał z nią - co wydawało się dość

dziwne - o sprawach związanych z zarządzaniem dobrami rodzowymi, a także o kwestiach dotyczących utrzymania koni. Elmina pomagała mu również w ujeżdżaniu źrebaków, które przyszły na świat w jego hodowli lub zostały kupione za niewielkie pieniądze. Czyniła to tak umiejętnie, że wkrótce stawały się znakomitymi wierzchowcami, używanymi przez hrabiego do polowań, lub znajdowały dobrych nabywców.

Tylko ją zabierał jesienią na łowy i z braku innego towarzystwa wodził po polach wśród deszczu i wichru, nie zważając na jej dziewczęcą kruchość. Siostry mówiły Elminie, że postępuje lekkomyślnie, wystawiając na szwank swoją urodę, lecz ona lubiła te wyprawy. A już na pewno wolała je niż długie i nudne rozmowy o najnowszej modzie czy jałowe roztrząsanie przywiezionych przez Mirabel z miasta plotek z wyższych sfer o miłosnych aferach jakichś nieznanych jej ludzi.

Ponieważ była najmłodsza, nosiła ubrania po siostrach, nie dbając ani o modę, ani o to, czy dobrze w nich wygląda.

Kończąc teraz śniadanie myślała, jak by tu wymknąć się chyłkiem do stajni, zanim mama znajdzie dla niej jakieś zajęcie w domu. Ale właśnie w tej chwili do jadalni wkroczył lokaj, niosąc na srebrnej tacy list. Wręczył go hrabiemu i oznajmił uroczystym tonem:

- Stajenny czeka na odpowiedź, wasza wysokość.

Hrabia zerknął na kopertę bez większego zainteresowania.

- Skąd to przyszło, Bartonie? - spytał.

- Od markiza Falcon, wasza wysokość.

Hrabia zeszywniał i wyprostował się w krześle.

- Od Falcona? A czegoż on, u diabła, chce?

- Ależ George, miej wzgląd na dziewczęta! - wykrzyknęła hrabina. - Nie wiedziałam, że markiz zjechał na wieś - dodała.

- Ani ja - przyznał małżonek. - Zeszłego tygodnia rozmawialiśmy w White House, ale z powodu nieznośnej wrzawy, jaką czyniło kilku młodzików, nie dosłyszałem ani słowa z tego, co mówił.

- Może to zaproszenie, papo? - zagadywała Deirdre.

- To równie mało prawdopodobne - roześmiała się Mirabel - jak wproszenie się markiza do nas na lunch. Przez osiemnaście lat ani razu nie zaprosił nas do Falconu. I teraz też nie ma tego zamiaru.

Pan domu wziął z tacy kopertę, otworzył ją i przez kilka chwil rozglądał się za swoimi okularami, których nie było tam, gdzie ich się spodziewał. Kiedy wreszcie ulokował je na nosie, przystąpił do czytania listu, co trwało tak długo, że w końcu hrabina zaniepokoiła się.

- O co chodzi, George? Czego chce od nas markiz?

- Dobry Boże! - wykrzyknął hrabia. - Nie mogę w to uwierzyć. A może wzrok mnie myli?!

- Co się stało? Co on pisze? - dopytywała małżonka.

Elmina, która już szykowała się do wyjścia, usiadła z powrotem na swoim krześle, ciekawa, co takiego jest w tym liście.

Hrabia raz jeszcze przebiegł oczami arkusz papieru trzymany w rękach. A potem, uświadamiając sobie, że nie tylko rodzina, ale i lokaj oczekują zaspokojenia ciekawości, oświadczył:

- Wezwę cię, Bartonie, gdy będę gotów. Powiedz stajennemu, żeby czekał.

- Naturalnie, panie hrabio - odparł sługa i w jego starczym głosie zabrzmiała nuta rozczarowania. Pracował w Warnborough przez ponad trzydzieści lat i zawsze gorąco pragnął wiedzieć o wszystkim, co się działo, ale wtedy gdy się działo, a nie później.

Jednakże Warnborough odczekał, aż zamknęły się za nim drzwi, i dopiero wtedy przemówił:

- Trudno mi uwierzyć, że to nie żart. Falcon pisze, że chce poślubić moją córkę.

W jadalni zapadła głęboka cisza. A potem odezwała się hrabina:

- Musiałeś go błędnie odczytać. Przecież nie pisałby o czymś takim bez wstępnych starań.

- Przychodzi mi teraz do głowy - rzekł hrabia z namysłem - że musiał mi coś napomknąć na ten temat owego wieczoru w White House. Jeśli mam być szczery, moja droga, muszę wyznać, że wypilem wtedy dość dużo porto ze starym Anstrutherem i kiedy Falcon mówił do mojego przygłuchego ucha, potakiwałem mu i uśmiechałem się, nie mając pojęcia, że wyrażam zgodę na mariaż mojej córki z tym arogantem.

- Trudno mi uwierzyć w szczerłość jego oświadczeń - westchnęła hrabina.

- Uważam je za osobistą zniewagę - powiedziała Mirabel stanowczo. - Dzięki Bogu, nie muszę go poślubić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał ojciec.

Spojrzał na swoją starszą córkę takim wzrokiem, jakby nigdy przedtem jej nie widział, i oświadczył powoli i dobitnie:

- Diadem Falconów jest bardzo twarzowy.

Mirabel wydała lekki okrzyk:

- Co ty mówisz, papo? Co masz na myśli? Przecież wiesz, że zamierzam poślubić Roberta. Dałeś mi już swoje pozwolenie.

- Twoje zaręczyny były nieoficjalne. I już nie zostaną ogłoszone.

Mirabel znowu wydała okrzyk.

- Obiecałeś, papo! Wiesz, że obiecałeś, a żaden dżentelmen nie cofa danego słowa.

Hrabia z lekkim westchnieniem spojrzał na swoją drugą córkę. Deirdre, uprzedzając go, rzekła:

- Zanim wypowiesz następne słowo, papo, chcę ci oświadczyć, że nie mam zamiaru wyjść za markiza Falconu! Nigdy go nie lubiłam ze względu na brak kurtuazji wobec nas, zarówno podczas polowań, jak też przy innych okazjach. Poza tym, chociaż ci tego jeszcze nie mówiłam, jestem po słowie z Christopherem.

- Z Christopherem Bardsleyem! - wykrzyknął hrabia. - Och, Deirdre, dlaczego trzymałaś to w sekrecie przede mną? Zawsze miałem wielką nadzieję, że on ci się spodoba!

- I on mi się podoba - odparła dziewczyna. - Ale nie mógł prosić cię o moją rękę, gdyż jego ojciec jest na łożu śmierci i w każdej chwili może zejść z tego świata.

- Doskonale to rozumiem - wtrąciła hrabina łagodnym głosem - i jestem pewna, moja najdroższa córeczko, że będziesz bardzo szczęśliwa z tym czarującym młodym człowiekiem.

Mówiąc to myślała nie tylko o urodzie przyszłego zięcia i jego wytwornych manierach, którymi wyróżniał się spośród kawalerów, jacy bywali w ich domu. Nie mniej ważny był dla niej fakt, iż ojciec Christophera, lord Bardsley, mieszkający około piętnastu mil stąd, posiada wcale ładny majątek, który po jego śmierci, wraz z tytułem, miał przypaść synowi.

- Dziękuję, mamó - powiedziała Deirdre. - Spodziewałam się, że mnie zrozumiesz. Trzymałam to dotąd w tajemnicy, ponieważ Chris uważał, że można by go pomówić o brak serca, gdyby w takim momencie myślał o ożenku.

- Macie oczywiście rację - rzekł hrabia cierpko. - Tylko co odpowiedzieć Falconowi?

- ...że ja go poślubię, papo!

Gdy Elmina wypaliła w jadalni z pistoletu, nie wywarłoby to na rodzinie większego wrażenia. Wszyscy naraz zwrócili się ku niej, a hrabia powiedział ostro:

- Ty? Ależ ty go nie możesz poślubić!

- Dlaczego nie? - spytała najmłodsza córka.

- Po pierwsze, jesteś za młoda - wtrąciła matka.

- W przyszłym tygodniu skończę osiemnaście lat - odparła panna. - I powinnaś pamiętać, mamó, że nie przedstawiłaś mnie w tym sezonie na dworze jedynie dlatego, że masz nas trzy na głowie, a taki potrójny debiut pociągnąłby za sobą zbyt wysokie koszty. - Umilkła, a ponieważ zdawało się, że nikt nie ma nic do powiedzenia, dodała: - Czuję się w pełni dojrzała do małżeństwa i jestem gotowa pójść do ołtarza z markizem.

Warnborough taksował wzrokiem córkę, jakby była młodą klaczą. W końcu odezwał się zgryźliwie:

- Problem w tym, że markiz może nie zechce pojąć ciebie za żonę.

- On chyba nie jest zbyt drobiazgowy, papo. Skoro nigdy dotąd nie zauważył ani Mirabel, ani Deirdre, przypuszczam, że każdą z twoich córek aprobowałby w jednakowym stopniu.

Hrabina odetchnęła głęboko.

- A ja uważam, George, że to jest zniewaga. Jak on może prosić cię listownie o rękę córki, skoro nie poczynił wcześniej należnych starań.

- Wyjaśniłem ci już, że Falcon najprawdopodobniej zrobił to owego wieczoru, lecz jego słowa do mnie nie dotarły. Teraz zawarł je w liście, nie możesz mu więc zarzucać, iż nie zasługuje na to, by zostać naszym zięciem.

Hrabina milczała. Myślała o pozycji społecznej markiza, jego olbrzymich dobrach, przylegających do ich posiadłości, o doskonałym zdrowiu tego człowieka, a także o tym, iż każdy, z kim zdarzyło jej się rozmawiać o Falconie, mówił o nim z respektem. Zupełnie jakby markiz przybył tu z innej planety.

Hrabia znowu spojrzął na Elminę, jakby chciał się upewnić, że niczego nie przeoczył. Potem rzekł przymilnie do Mirabel:

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, droga córko, jaką pozycję zajmowałabyś jako markiza Falcon? Dziedziczka Bedchamberu, *persona non grata* na dworze. Nie zdarzyło się dotąd, aby któryś dystyngowany gość z zagranicy nie skorzystał z zaproszenia do siedziby Falconów.

- A więc oni są możniejsi niż my! Mieszkamy w odległości pięciu mil od ich majątku, znamy swoich sąsiadów z opowieści, ale nigdy nie byliśmy zaproszeni na żaden bal ani żadne przyjęcie, nawet nie uczestniczyliśmy w łowach, które urządzali.

- Owszem, polowałem z nim - rzucił ostro hrabia.

- To była niezwykła uprzejmość ze strony Falcona, że cię nie pominął - sarknęła pogardliwie Mirabel. - Trudno mu było zignorować cię, skoro raz po raz wypożyczał twoje psy do gonitw za zwierzyną. Ale czy choć raz zaprosił ciebie i mamę na obiad? - Nie słysząc odpowiedzi dodała: - Odkąd jestem dostatecznie dorosła, żeby wiedzieć, co robisz i gdzie przebywasz, nie muszę się ograniczać do pojedynczych przykładów.

Hrabia milczał. Córka mówiła jedynie to, co on sam po tysiącokroć powtarzał swojej żonie, kiedy byli sami.

- To okropna zniewaga! - oburzał się wciąż od nowa. - Falcon uważa, że sąsiedzi w hrabstwie nie zasługują, żeby przekroczyć próg jego domu.

- Przypuszczam, kochanie - powiedziała hrabina z lekkim westchnieniem, wysłuchawszy męża - że markiz uważa nas po prostu za starych nudziarzy. Doprawdy nie możemy go obwiniać, skoro cieszy się takim wzięciem i powodzeniem u najpiękniejszych kobiet w kraju, a ponadto jest oczkiem w głowie swojej niezmiernie ambitnej matki.

- Wszystko, co mogę powiedzieć - odburknął hrabia - to to, że ojciec miał lepsze maniery aniżeli syn.

Cokolwiek o nim mówiono, markiz postępował zawsze według własnych potrzeb i upodobań. W swoim ogromnym, wspaniałym domu przyjmował tylko tych, których pragnął widywać. I choć sąsiedzi zgrzytali zębami z wściekłości, a ich żony zaciskały pięści, upragnione zaproszenia nie nadchodziły. Za to pogłoski o gościnności markiza rozchodziły się lotem błyskawicy.

Hrabia znów spojrzał na list.

- No dobrze, ale co my teraz z tym fantem pocniemy? - zapytał.

- Pozwól Elminie poślubić go, papo, skoro ona tego pragnie. - odezwała się Deirdre, nim ktokolwiek zdołał wyrzec słowo.

Jej głos drżał lekko, zdradzając, iż młoda dama lęka się, by teraz, gdy pojawiła się grubsza ryba, ojciec nie zażądał od niej zerwania z ukochanym Christopherem.

- Jestem pewien, że markiz, wyrażając chęć poślubienia mojej córki, miał na myśli Mirabel - rzekł hrabia. - Poza wszystkim to ona była w Londynie i bez wątplenia ją widział w Devonshires lub na balu u Richmondów.

- Jeżeli nawet mnie zauważył - wpadła mu w słowo córka - to nie zaszczycił mnie ani jednym komplementem czy nawet spojrzeniem. Był, jeśli chcesz wiedzieć, bez reszty zajęty lady Carstairs, której piękność wedle tego, co piszą w gazetach, olśniewa sale balowe Londynu.

- Zgadzam się z tym - wykrzyknął hrabia z entuzjazmem, po czym zmieszał się przychwyciwszy spojrzenie żony. - Chodźcie tu do mnie! - rzucił głośno. - Posłaniec czeka, muszę czym prędzej przygotować odpowiedź dla jego lordowskiej mości.

- Napisz mu, papo, że przyjmujesz jego propozycję - podpowiedziała Elmina. - I zaprosz go na lunch lub na kolację, ale nie przed upływem przyszłego tygodnia.

Ojciec przyjrzał jej się badawczo, wyjaśniła więc:

- To da mi czas na zakup jakiejś przyzwoitej sukni, w której mogłabym mu się pokazać. W tej chwili nie mam nic odpowiedniego.

Słowa Elminy uświadomiły hrabinie, że wygląd jej najmłodszej córki pozostawia wiele do życzenia. Powiedziała w pośpiechu do małżonka:

- Proszę cię, George, nie rób nic pochopnie. Nie sądzę, aby Elmina była odpowiednią żoną dla markiza Falconu. Jeżeli teraz wyrazisz zgodę na jego małżeństwo z naszą córką, później możesz mieć trudności z odwołaniem swej decyzji.

- Dlaczego miałbym ją odwoływać? - zachnął się małżonek. - Ten człowiek poprosił mnie o rękę córki, i tak się składa, że jedyną panną, którą mogę mu zaoferować, jest właśnie Elmina.

- Ale doprawdy... - zaczęła hrabina, mąż jednak przerwał jej, wstając od stołu.

- Mam zamiar powiadomić Falcona, że przystaję na jego propozycję. Jeśli chcesz znać prawdę, uważam ją za bezczelną zniewagę, ale nie jestem tak głupi, by nie zdawać sobie sprawy z korzyści, jaką przyniesie połączenie obu majątków. Falcon, wedle tego, co wszyscy mówią, jest bogaty jak Krezus. - Przy drzwiach zamilkł i obejrzał się. - Jeżeli mężczyzna jest tak nierozsądny, by kupować kota w worku - zauważył - będzie miał to, na co sobie zasłużył.

Wyszedł z jadalni, zatrząskując za sobą drzwi. Przez chwilę przy stole panowała cisza. Potem Mirabel spojrzała na Deirdre i rzekła:

- Dzięki Bogu, papa nie unieważnił moich zaręczyn z Robertem.

- Ani moich z Christopherem! - dorzuciła siostra. - Przez jedną okropną chwilę myślałam, że to zrobi.

- Podobnie jak ja... - westchnęła Mirabel.

Po wyjściu hrabiego hrabina wstała od stołu i podażyła za mężem. Dziewczęta zostały same i Deirdre zwróciła się do młodszej siostry:

- Jesteś bardzo dzielna, Elmino! Markiz jest straszny. Wolałabym poślubić samego diabła!

- Nieładnie mówić takie rzeczy - upomniała ją Mirabel. - Niemniej, Elmino, będzie ci trudno wytrzymać z takim mężem.

- On ma najwspanialsze konie, jakie kiedykolwiek widziałam - rzekła dziewczyna marnocześnie. - A dom jest tak pięknie urządzone jak pałac z baśni.

- Dom? Urządzone? - zdumiały się obie siostry. - Co masz na myśli? Przecież nigdy tam nie byłaś.

- Ależ tak! Byłam tam! Wiele razy! - roześmiała się Elmina.

- W jaki sposób? I dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

- To był mój sekret. Pewnego razu główny stajenny markiza poprosił ochmistrzynię, aby oprowadziła mnie po rezydencji Falconów w zamian za uprzejmość, którą mu wyświadczyłam.

- Ty wyświadczyłaś uprzejmość głównemu stajennemu markiza? - powtórzyła machinalnie Mirabel. - Jak mogłaś uczynić coś podobnego?

- To się zdarzyło kilka lat temu - wyjaśniła Elmina. - Wracając z polowania i mój koń zgubił podkowę. Ponieważ do domu było daleko, bałam się, że okuleje. Zaczęłam go prowadzić bardzo wolno. Zapadł zmrok. Wtedy przypomniałam sobie, jak papa kiedyś mówił, że markiz ma w swoich posiadłościach kuźnię, i udałam się tam.

- Przypuszczam, że niełatwo ci było dostać się do kuźni - zauważyła cierpko Mirabel.

- Nie miałam zamiaru prosić markiza o pozwolenie - roześmiała się znów Elmina. - Wprowadziłam Gwiazdę na dziedziniec, zapytałam o głównego stajennego i wyjaśniłam mu, co się stało. Natychmiast zrozumiał moją sytuację i posłał po kowala, mieszkającego w jednym z domków nieopodal stajni. - Umilkła i po chwili mówiła dalej: - Kiedy kowal zajmował się Gwiazdą, rozmawiałam z człowiekiem o nazwisku Hogson. Zwierzył mi się, że leczy okładami konia, którego dosiadała pewna dama. Ujeżdżając go, niemiłosiernie raniła ostrogami końskie boki.

Siostry słuchały z coraz większym zainteresowaniem.

- Na pewno pamiętacie - ciągnęła Elmina - specjalne okłady, które za radą ojca stosowałyśmy na różne stłuczenia. Podobno był to przepis naszej wspaniałej babki. Obiecałam Hogsonowi, że następnego dnia przywiozę mu te opatrunki.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

- Prawdę mówiąc, obawiałam się, że rodzice, obrażeni na markiza za ignorowanie ich, zabronią mi bywania w Falconie.

- Opowiadaj dalej! - ponagliła Deirdre. - Co było potem?

- Hogson był mi bardzo wdzięczny, bo okłady poskutkowały natychmiast. Niebawem poprosił o receptę.

- Zdradziłaś mu nasz sekret? - oburzyła się Mirabel. - Jak mogłaś! Wiesz przecież, że papa chlubi się tym, iż tylko on jeden zna przepis na ten cudowny lek.

- Ani mi było w głowie zdradzać sekret papy. Po prostu zrobiłam całą masę opatrunków i dałam je Hogsonowi. Powiedziałam, że nie mogę mu podać przepisu, ale ilekroć będzie w potrzebie, z największą chęcią przygotuję mu każdą ilość.

Mirabel i Deirdre westchnęły zazdrośnie.

- To w taki sposób dostałaś się do domu Falconów!

- Hogson chciał mi się odwdziaczyć - ciągnęła Elmina. - A poza tym pragnął w ten sposób zapewnić sobie moją pomoc na przyszłość, gdyby znów jakaś przyjaciółka markiza poraniła mu ostrogami konia. No więc kiedy pewnego razu powiedziałam mu z niewinną miną, że w okolicy krążą pogłoski o wspaniałych obrazach myśliwskich jego lordowskiej mości, Hogson od razu spytał mnie, czy mam ochotę je obejrzeć.

- Wszystko jasne. Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś nas ze sobą zabierać - oznajmiła Deirdre.

- Miałam pełną świadomość, że papa i mama wpadliby w furję na samą myśl o tym, że byłam tam i oglądałam te wszystkie wspaniałości, podczas gdy oni nie zostali uznani za godnych zaproszenia do rezydencji możnego sąsiada.

- Ale markiza nie widziałaś? - spytała szybko Mirabel.

- O nie! Bywałam tam tylko pod jego nieobecność. Och, dziewczęta, gdybyście mogły zobaczyć jego bibliotekę! Markiz ma najwspanialszą kolekcję książek, jaką można sobie wyobrazić. Pragnę zaszyć się tam i czytać, czytać...

- Będiesz mogła to robić po ślubie - orzekła Deirdre.

Przez chwilę Elmina zdawała się zaskoczona.

- Naturalnie! Nie pomyślałam o tym. - Wydała okrzyk zachwytu i oznajmiła: - Prawdę mówiąc, wychodzę za markiza dla jego koni. Znam już wszystkie i nie wyobrażam sobie lepszej stadniny nigdzie w świecie.

- Ile razy tam byłaś? - spytała ciekawie Mirabel.

- Och, mnóstwo razy - odparła Elmina ostrożnie. - Kiedy wyjechałyście do Londynu, a ja zostałam sama z podręcznikami do nauki, te wyprawy były moją jedyną rozrywką. Wyście się tam cudownie bawiły, ale i ja miałam tutaj swoją zabawę!

- Nie do wiary! - Obie siostry niespodziewanie wybuchnęły śmiechem. - Szczerze mówiąc, siostrzyczko, to niegodziwe, że trzymałaś w tajemnicy takie podniecające rzeczy!

- Tylko nie mówcie nic papie i mamie - ostrzegła je. - Nie darowałiby mi. A zwiedzanie Falconu to doprawdy istna wyprawa do czarodziejskiej krainy.

- I wychodząc za mąż chcesz się do tej krainy wyprawić! - orzekła Mirabel sarkastycznie. - A zatem zamierzasz poślubić mężczyznę twoich marzeń, a my mamy uwierzyć, że on sprosta twoim oczekiwaniom. Muszę przyznać, że na twoim miejscu byłabym przerażona.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie łatwe - odparła spokojnie Elmina. - Ale tam będą konie i tysiące książek!

Dając do zrozumienia, że dalszą wymianę zdań uważa za zbyteczną, odwróciła się i opuściła jadalnię. Mirabel patrzyła przez chwilę na Deirdre w milczeniu, po czym rzekła:

- Ona jest za młoda, żeby zdawać sobie sprawę, co robi.

- Tak, wiem - przytaknęła Deirdre. - Ale dowie się zaraz po ślubie.

- Moim zdaniem, będzie z nim beznadziejnie nieszczęśliwa. Powinniśmy temu zapobiec.

- Jak? - spytała Deirdre. - Wiesz przecież, że papa jest w istocie zachwycony perspektywą zdobycia takiego zięcia. No i rozwiąże to jego problemy finansowe. Co do tego nie mam wątpliwości.

- To prawda - zgodziła się z siostrą Mirabel. - Ale musimy myśleć także o Elminie.

- Jeżeli o mnie chodzi, to podejrzewam, że nasza mała siostrzyczka potrafi świetnie troszczyć się o siebie. Zdołała przecież dostać się, w tajemnicy przed nami, do rezydencji Falconów, gdy ja marzę o tym daremnie niemal od kołyski.

- Dla mnie markiz był zawsze odpychający - wyznała Mirabel. - Podczas polowań wyniośle obnosił swoją butę, łaskawie dopuszczając do kompanii „niższych” i „gorszych”.

- Mówisz tak - zaśmiała się Deirdre - ponieważ nie adorował cię jak wszyscy inni.

- Wcale nie życzyłam sobie jego adoracji.

- Już wiem! - wykrzyknęła nagle Deirdre. - Wiem, dlaczego się oświadczył.

- Dlaczego? - spytała Mirabel.

- Ponieważ jesteś bardzo podobna do lady Carstairs! Oczywiście nie tak piękna, ale masz takie same włosy i jak ona ogromne niebieskie oczy, lśniące jak gwiazdy.

- Czy moje oczy są rzeczywiście takie? - spytała ciekawie Mirabel.

- Przypominasz naszą babkę z obrazu Sir Joshua Reynoldsa, a ona była jedną z najpiękniejszych kobiet swojej epoki.

- Słyszałam o tym - powiedziała Mirabel. - I nieraz próbowałam nadać swojej twarzy ten sam wyraz błogości.

- Wyglądałaś wtedy głupkowato - oświadczyła Deirdre z siostrzaną szczerością. - Bądź sobą, tak jest najlepiej. Czy ty rzeczywiście nie chciałabyś poślubić nikogo prócz Roberta?

- Oczywiście, że nie! On jest cudowny! - wykrzyknęła Mirabel. - Omal nie umarłam, gdy przez jedną straszną chwilę myślałam, że papa zechce mnie wydać za markiza.

- Ta chwila była gorsza dla mnie, ponieważ papa nie wiedział nic o moim Christopherze.

- Chris będzie lordem - rzekła Mirabel - co stanowi jego niewątpliwy atut. Ja niestety będę żoną jedynie baroneta. - Po krótkiej pauzie dodała: - Ale nasza mała siostra Elmina zostanie małżonką markiza Falconu. Do stołu będzie szła przed nami.

Deirdre nagle zaczęła się śmiać.

- Nie mogę w to uwierzyć - wykrztusiła - że też Elmina chce mieć za męża kogoś tak zaradzieckiego, pysznego, wyniosłego. Ale jeśli mam być szczerą, to muszę ci coś wyznać: przypuszczam, że markiz, ujrzawszy naszą siostrzyczkę, wycofa swoje oświadczenia.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Mirabel przestraszona. - Nie wolno myśleć, że dżentelmen mógłby się zachować w tak niegodziwy sposób. Jeżeli jednak markiz spodziewa się dostać mnie za żonę, z pewnością dozna zawodu. Co mu zresztą wyjdzie na dobre.

- W takim razie powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc Elminie - orzekła Deirdre. - Ona ma rację: musi mieć porządne suknie zamiast tych starych, znoszonych kiecek, w których wygląda jak żebraczka.

Po krótkiej pauzie Mirabel dodała:

- Biedna Elmina! Serce mi się ściska na myśl o jej losie. Naturalnie, zrobimy wszystko, co możliwe, żeby jej pomóc. Ale właściwie to nie mam pojęcia, co należałoby uczynić.

- W każdym razie spróbujemy - zakończyła Deirdre.

Opuściwszy jadalnię Elmina co tchu pobiegła do stajni. Aczkolwiek zabroniono jej przychodzenia na śniadanie w stroju do jazdy konnej, zwykle rano spędzała z końmi tyle czasu,

że zapominała o życzeniu mamy i zjawiała się przy stole niestosownie ubrana. I chodziła w tym samym ubraniu od chwili wstania z łóżka aż do popołudnia, kiedy trzeba się było przebrać do kolacji. Dlatego też teraz wzięła tylko kapelusz, rękawiczki oraz bat i udała się do koni.

Najpierw natknęła się na jednego z młodszych stajennych, chłopaka przygłupka. Przygładziwszy sobie czuprynę, zabierał się do splukiwania wodą kocich łbów przed stajnią. Weszła w otwarte wrota, wypatrując drugiego stajennego. Szczotkował właśnie jej Gwiazdę w sposób zupełnie inny, niż to zwykle robiono w angielskiej stadninie, ponieważ był Chińczykiem. Przynajmniej wszyscy brali go za Chińczyka, nosił bowiem imię Czang. Jedna Elmina wiedziała coś, o czym nikt inny nie miał pojęcia: matka Czanga była Jawajką, a ojciec Holendrem, tylko dziadek był Chińczykiem i po nim Czang odziedziczył skośne oczy oraz czarne włosy. Historia jego pojawienia się w służbie u hrabiego Warnborough była równie niezwykła jak ciąg zdarzeń, które zaprowadziły Elminę do siedziby Falconów.

Przed rokiem, gdy Mirabel od dwóch miesięcy bawiła w Londynie, Deirdre zaś oraz Elmina, za młode na debiut w towarzystwie, tkwiły na wsi, rodzice postanowili zabrać je także na jakiś czas do stolicy. Deirdre pozwolono od razu bywać na niektórych balach, brać udział w wydawanych przez ojca obiadach oraz odbywać przejażdżki konne po Rotten Row u boku matki. Elminę natomiast trzymano z dala od świata. Posiłki jadała sama lub w towarzystwie któregoś z guwernerów. Nie była tym zachwycona. Wkrótce postanowiła to zmienić. Bez trudu wytłumaczyła mamie, że jej edukacja wymaga zwiedzania muzeów i w ogóle Londynu, naturalnie pod opieką którejś ze starszych pokojówek.

Pewnego dnia, wracając z kolejnej wyprawy na miasto, Elmina, ku konsternacji swej towarzyszki, uparła się, że pójdzie pieszo, gdyż potrzebuje więcej ruchu. Gdy mijały skrzyżowanie, prawie wpadła na zamiatacza ulic. Powłóczył nogą i było w nim coś, co poruszyło jej serce. Przystanęła i sięgnęła do sakiewki. Wziął darowany grosz i powiedział:

- Dzięki ci, pani. Piękny był koń, na którym jeździłaś dziś rano w parku.

Młoda dama spojrzała nań zaskoczona i dopiero wtedy zauważyła jego egzotyczny wygląd. Odparła:

- Cieszę się, że ci się spodobał. Dostałam go od ojca. Jest młody. Myślę, że za jakiś czas zachwyci wszystkich.

- Jestem pewien, pani - przytaknął zamiatacz. - Ale powiedz chłopcu, który go ujeżdża, żeby nie ściągał zanadto cugli. Ten koń ma bardzo delikatny pysk. Przyjrzyj mu się dobrze: ma tam ranę.

Elmina spojrzała nań zdumiona.

- Skąd o tym wiesz? - spytała.

- Przyglądam się uważnie wszystkim koniom - odparł z prostotą.

- Skoro tak bardzo kochasz te zwierzęta, dlaczego zamiatasz ulice? - spytała i zaraz zrozumiała, że było to niemądre pytanie.

- Kiedyś spadłem z konia i połamałem nogi - wyjaśnił. - Upadek był tak niefortunny, że teraz mam jedną nogę krótszą. - Westchnął i dodał: - To mi nie przeszkadza w jeździe konnej, ale nikt nie chce mieć w swojej stajni kuternogi.

Tyle żalu było w jego głosie, że Elmina rzekła:

- Główny stajenny mojego ojca powiedział mi dziś rano, że szuka chłopca do koni. Może nadasz się do tej pracy.

Nagły błysk rozjaśnił skośne oczy.

- Niech szczęście towarzyszy ci przez wszystkie dni twojego żywota! - powiedział z wdzięknością.

Elmina zdała sobie sprawę, że skośnooki nieznajomy przemawia do niej po angielsku, ale słowa, które wypowiada, brzmią dziwnie. I cechuje je wytworność, jakiej darmo by szukać w mowie angielskich zamiataczy ulic.

Nie zważając na pomruki niezadowolenia służącej, która towarzyszyła jej w charakterze przyzwoitki, młoda dama poleciła Czangowi, by szedł za nią do Mews*.

* *Mews* - zespół Stajni Królewskich w Londynie.

Główny stajenny księcia w ciągu kilku lat zdołał się przekonać, jak pożyteczna jest pomoc Elminy w opiece nad końmi. Nigdy nie sprzeciwiał się niczemu, co sugerowała, i odczuwał lekki niepokój, gdy zrobił coś, czego nie pochwałała. Teraz zgodził się wypróbować człowieka, którego mu przyprowadziła. Wkrótce Czang stał się niezastąpiony.

Stopniowo Elmina poznawała jego niezwykłą historię. Zjeździł cały świat, to w tej, to w innej roli; raz jako kurier bogatych kupców odwiedził Wschód, innym razem uczestniczył z dżentelmenami w polowaniu na grubego zwierza. Służył na statku handlowym i - co podkreślił z dumą w głosie - dosiadał wszystkich zwierząt, od jaka do słonia.

Kiedy nadeszła pora powrotu do wiejskiej posiadłości, było oczywiste, że Czang pojedzie razem ze swymi chlebodawcami. Służba w Warn Park bardzo szybko przywykła do jego dziwnego wyglądu, on zaś radził sobie doskonale ze wszystkim, co mu zlecano. Ilekroć lokaj

hrabiego chorował, Czang pełnił jego obowiązki. Gdy brakowało służącego, on pomagał usługiwać przy stole. Jeżeli potrzebowano czegoś nadzwyczajnego, skośnooki przybysz załatwiał to niezawodnie. Zdawał się być obecny w stajni zawsze, o każdej porze dnia i nocy.

Ledwo Elmina weszła do boksu, Gwiazda wyciągnęła ku niej pysk, domagając się pieczyoty. Dziewczyna, gładząc szyję klaczy, zwróciła się do stajennego:

- Posłuchaj, Czang. Potrzebuję twojej pomocy.

Uśmiechnął się szeroko, rozciągając swoje cienkie wargi od ucha do ucha.

- Powiedz tylko słowo, milady.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

- Zamierzam... po... poślubić markiza Falcon.

Czang ze szczotką w ręku zamarł z wrażenia. Po chwili odezwał się:

- Jego lordowska mość ma wspaniałe konie!

- Nadzwyczajne! Ale chcę, byś mi powiedział, co myślisz o nim jako o mężczyźnie.

Nie musiała przypominać Czangowi, że już kiedyś rozmawiali o markizie. Obserwowali go wtedy - o czym pojęcia nie mieli jej rodzice - z dwóch wieżyczek myśliwskich znajdujących się w posiadłości możnego sąsiada. Byli zachwyceni zawodami, które markiz urządził dla swoich młodych przyjaciół. Elmina myślała potem, że nigdy dotąd nie widziała mężczyzny, który by jeździł konno lepiej niż markiz i jednocześnie tworzył tak doskonałą całość ze swoim wierzchowcem. Miała jednakże świadomość, że zawody przebiegały niezgodnie z zasadami, ponieważ gospodarz był nie tylko najlepszym jeźdźcą, ale również posiadał najświetniejsze konie. Było oczywiste, że zwycięży. Młoda dama i służący leżeli płasko w trawie na zboczu wzgórza powyżej punktu startowego wyścigów, obserwując zawodników pokonujących przeszkody. Krytykowali ich styl, sposób prowadzenia koni i wygląd. Jedynie gdy chodziło o markiza, nie robili żadnych uwag, choć Elmina czuła, że Czang miałby wiele do powiedzenia.

Tak bardzo polubiła małego cudzoziemca, którego wprowadziła do rodziny, że stał się jej jedynym powiernikiem oraz doradcą w różnych sprawach. Nie zdziwiło jej, gdy dowiedziała się, że Czang studiował konfucjanizm, podobnie jak inne religie Wschodu, ale nie była pewna, którą aktualnie wyznaje. Zorientowała się także, że ilekroć ma kłopoty z niesfornymi końmi, używa mistycznej mocy, a one jej ulegają. Podobnie zresztą jak ludzie. Nie miała wątpliwości, że z rozmysłem zwrócił na siebie jej uwagę, gdy przystanęła, by wręczyć mu grosz. Głos wewnętrzny podpowiedział mu, że właśnie na jej pomoc może liczyć, gdy wszystko zawiodło.

Teraz więc spytała go po prostu i bez skrępowania, co myśli o mężczyźnie, którego ona zamierza poślubić. Czekwała długą chwilę, zanim Czang odezwał się głosem, którego używał, ilekroć się nad czymś głęboko zastanawiał:

- Jego lordowska mość jest człowiekiem o wielkich możliwościach, milady. Lecz wszystko przychodzi mu nazbyt łatwo. Ma, czego tylko zapragnie. I w tym szkopuł. Jak mówią w Chinach: „Brzoskwinie same wpadają mu do ręki.” To nie jest dobre. Mężczyzna musi walczyć o swoje. Za pomocą sił duchowych, a nie cielesnych. Musi mieć instynkt łowcy.

- Dziękuję ci, Czang. Pomogłeś mi. A teraz poćwiczmy ju-jitsu. Ostatnio trochę się zaniedbałam. Przez dwa tygodnie nie mieliśmy lekcji.

- Doskonale, milady. O której chcesz mnie widzieć u siebie?

Elmina szybciotko obliczyła w myślach, że mama, jak zwykle, będzie odpoczywała przed kolacją, a siostry zajmą się pisaniem listów do narzeczonych.

- Przyjdź o wpół do szóstej - rzekła. - To nam pozwoli popracować przez godzinkę z okładem. Potem wezmę kąpiel.

- Dobrze, milady.

- Mam nadzieję, że papa wybierze się teraz na swoją dwudziestominutową przejażdżkę.

Zaraz jednak pomyślała, że przez cały ten czas będzie pewnie układał list do markiza. Bez wątpienia sporządzi wiele wersji, nim zdecyduje się na ostateczną.

- Którego konia przygotować dla pana hrabiego? - spytał Czang.

- Sądzę, że oboje, papa i ja, potrzebujemy wyzwania - zaśmiała się. - Weźmiemy więc te nowe konie. Nie pozwolą nam ani myśleć, ani rozmawiać.

Czang wyszczerzył zęby w uśmiechu. Elmina zaś, musnąwszy ustami nos Gwiazdy, pośpieszyła do holu, by tam cierpliwie czekać na ojca.

Warnborough, wręczywszy Bartonowi list do markiza, szedł ku niej z chmurną miną. Sprawy przybrały niezrozumiały dla niego obrót. W gruncie rzeczy nie był pewien, czy powinien czuć się zadowolony, czy też, przeciwnie, obrażony wyniosłym zachowaniem markiza.

Rozdział 2

- Markiz Falcon, milady - zaanonsował Butler.

Lady Carstairs wydała okrzyk doskonale udawanego zaskoczenia i gdy tylko zamknęły się drzwi za służącym, ruszyła przez salon z wyciągniętymi ramionami.

- Alston, kochanie! - wykrzyknęła. - Tak bardzo się zmartwiłam wieścią o twoim wyjeździe na wieś. Bogu dzięki, jesteś już z powrotem.

- Tak, już jestem - rzekł przybysz, wolno cedząc słowa, jak to miał w zwyczaju.

Ucałował obie wyciągnięte ku niemu dłonie, lecz zignorował zaproszenie pąsowych warg i podszedł do kominka. Lady Carstairs przyjrzała mu się podejrzliwie. Zdziwiło ją, że nie wziął jej w ramiona, ale znając dobrze mężczyzn, nie zrobiła mu żadnej wymówki. Za to kłuczając nieco zbliżyła się do kominka, świadoma, iż suknia, którą ma na sobie, znakomicie uwydatnia jej kształty, i niepodobna, by jakikolwiek mężczyzna nie zachwyił się liniami jej ciała, tak jak rysami twarzy.

- Jak mogłeś odjechać tak bez słowa? - spytała łagodnym głosem, który niezawodnie działał na jej wielbicieli.

- Sprowadziłem kilka koni do Falconu - odparł - i chciałem mieć pewność, że przygotowano im należyte miejsca w stajni oraz że prezentują się nie gorzej niż podczas kupna.

- Jestem przekonana, że są doskonałe, jak wszystko, co posiadasz - schlebiła mu kobieta. - I mam nadzieję, że pozwolisz mi galopować po twojej posiadłości na najdoskonalszym.

Markiz zauważył, że powiedziała „galopować”, a nie „jeździć”, choć tak naprawdę to nie przepadała za konnymi przejażdżkami. Jeżeli dosiadała od czasu do czasu konia, to po to, by pokazać swoją amazonkę, elegantszą niż kostiumy innych kobiet, a także by przyciągnąć do siebie cały legion mężczyzn.

Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie markiz rzekł:

- Mam ci coś do zakomunikowania, Szafiro.

Na imię miała Sara, ale markiz uważał, że dla królowej piękności jest zbyt pospolite. Wymyślił więc inne. Urobił je od nazwy kamieni szlachetnych, które zdobiły jej niezwykle piękny naszyjnik.

W tonie jego głosu lady Carstairs wyczuła nutę zapowiadającą coś szczególnego. Splatając dłonie gestem nieco teatralnym spytała:

- Och, Alstonie, o co chodzi? Mam nadzieję, że to nic złego?

- Zależy, co jest dla ciebie „złe” - odparł. - A chodzi o to, że zamierzam się ożenić.

Wyznał wszystko bez ogródek, uważając zapewne, że lepiej odkryć prawdę od razu, aniżeli odsłaniać ją po trochu, osładzając miłymi słówkami. Po chwili wymownego milczenia lady Carstairs powtórzyła zdławionym głosem:

- Ożenić? - I podnosząc na niego swoje ogromne błękitne oczy spytała: - Ale dlaczego i... z kim? Czemu nie wiedziałam o tym wcześniej? - Jej głos stopniowo przybierał na sile, a przy ostatnich słowach przeszedł w przeraźliwy krzyk.

Markiz wyjaśnił pośpiesznie:

- Chciałem odsunąć od siebie na jakiś czas tę decyzję, Szafiro, ze świadomością wszakże, że prędzej czy później będę musiał ją podjąć, jako że powinienem przecież mieć dziedzica.

- Ależ naturalnie! - zgodziła się lady Carstairs. - Ale dlaczego ma się to stać teraz, kiedy jesteśmy tacy... szczęśliwi?!

Przy słowie „szczęśliwi” głos jej zadrżał, jakby była bliska płaczu.

- Zaraz ci wytłumaczę dlaczego. Wówczas zrozumiesz, że nie ma powodu do hysterii ani niepokoju, gdyż jest to całkowicie naturalny bieg rzeczy.

- Dla mnie wcale nie jest naturalny! - sprzeciwiła się lady Carstairs.

Usiadła na brzegu sofy i wydobywszy zza paska sukni maleńką chusteczkę, podniosła ją do oczu. Markiz wiedział, że gdyby tam czały się łzy, nie pozwoliłaby im popłynąć, gdyż jej długie rzęsy, jasnozłociste jak włosy, były powleczone czarnym tuszem.

- A jednak to całkiem proste - rzekł wyniosłym tonem. - A w wydarzeniach, które nastąpią, nie powinnaś doszukiwać się powodów do zazdrości.

- Ależ ja już jestem zazdrosna - przerwała mu przyjaciółka. - Kocham cię, Alstonie, jak nigdy w całym moim życiu nie kochałam żadnego mężczyzny. Jak możesz mi robić coś takiego?!

- Ściśle mówiąc, robię to sobie samemu - rzekł markiz, wykrzywając usta w dziwnym grymasie. - Pozwól, że wytłumaczę ci to jaśniej. Ja wcale nie pragnę tego małżeństwa. Jeśli chcesz znać prawdę, jest to cholernie przykra sprawa!

- Zatem dlaczego się żenisz?

- Wszystkiemu winna jest... królowa.

- Królowa? - W głosie lady Carstairs pojawił się nowy ton. Po chwili milczenia rzekła: - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że królowa wie o naszym związku?

- Przypuszczam, że właśnie tak jest - rzucił markiz niedbale. - Choć wątpię, czy powiadomił ją o tym premier.

- Czyżbyś sugerował, że lord John Russel jest w to zamieszany?

- Tak, właśnie to sugeruję - odparł. - Gdyż w istocie to on dał mi do zrozumienia, że powinienem się ożenić.

Lady Carstairs wzdrygnęła się oburzona.

- Jak śmiał wtrącać się w nasze sprawy?! Jakim prawem ingeruje w coś, co nie podlega jego jurysdykcji?!

- Otóż tu właśnie się mylisz - przerwał jej markiz. - I jeśli zamilkiesz na chwilę, Szafiro, opowiem ci dokładnie, co się zdarzyło.

Dama dobyła z siebie niby to rozdzierający szloch, po czym wyartykułowała:

- Nie zniosę tego! Nie potrafię pogodzić się z myślą o twoim ożenku z kimkolwiek innym niż ja.

- To byłoby niemożliwe, chyba że zdecydowałabyś się na bigamię - odparł oschle.

- Och, Alstonie, jak możesz być tak przykry. Wiesz przecież, że łamiesz mi serce?!

- Daleki jestem od tego! - odpowiedział z nutą irytacji w głosie. - Może wreszcie wysłuchasz, co ci mam do powiedzenia!

- Słucham, mów - odrzekła już mniej pewnie.

- W zeszłym tygodniu Russel wezwał mnie - zaczął markiz - i poinformował, że jestem najodpowiedniejszym kandydatem na stanowisko koniuszego jej królewskiej mości.

- Wspaniale! - wykrzyknęła lady Carstairs, ożywiając się. - Nikt inny nie nadawałby się do tej roli lepiej niż ty.

- Ale pod pewnym warunkiem - ciągnął markiz, nie zważając na okrzyk przyjaciółki. - Otóż oboje, on i królowa, uważają, że stanowisko to może objąć człowiek żonaty.

Lady Carstairs tym razem nie powiedziała nic, ale markiz wiedział, że zaczęła pojmować. Mówił dalej:

- Russel zasugerował mi, z całym właściwym sobie taktem, z którego słynie, że jako kawaler jestem nie dość dostojny na stanowisko koniuszego, a nawet dał mi do zrozumienia, iż Księżę Małzonek mógłby być o mnie zazdrosny.

- To mnie nie dziwi - odezwała się dama, uważając najwidoczniej, że wypada wtrącić tu jakieś pochlebstwo.

- Jeżeli chodzi o królową, świata nie widzi poza swoim nudnym i oziębłym mężem - ciągnął markiz - i myśli, że słońce wstaje i zachodzi wraz z nim. Trudno mi byłoby wytrzymać w zamku królewskim.

- Każda kobieta, od królowej poczynając, na dojarce kończąc, zakochałaby się w tobie od pierwszego wejrzenia, najdroższy Alstonie - oświadczyła przyjaciółka. - Ale czy z tego powodu musisz od razu się żenić?

- Powiem ci otwarcie, że chcę zostać koniuszym jej królewskiej mości. Stajnie dworskie są w opłakanym stanie, odkąd zaniedbał je król Wilhelm, który nigdy specjalnie nie interesował się końmi, zaś Książę Małżonek, aczkolwiek stale pieczołowicie ulepsza pałacowe wnętrza, jest absolutnym ignorantem, jeśli chodzi o stadninę.

Gdy mówił, oczy mu zalśniły na myśl, że będzie czyścił stajnie z „kurzu i brudu stulecia”.

Czując, że nie powiedział jej jeszcze najważniejszej rzeczy, lady Carstairs rzekła przy-
milnie:

- Kim jest ta szczęśliwa dziewczyna, która poślubi najprzystojniejszego mężczyznę na świecie?

- To jest pytanie, które sam sobie zadaję - odrzekł. - I muszę ci wyznać, Szafiro, że mam wielkie trudności ze znalezieniem odpowiedzi. - Zaśmiał się krótko. - Nigdy w życiu nie zadawałem się z pannami na wydaniu. Interesowały mnie wyłącznie istoty takie jak ty. - Mówiąc to spojrzął na przyjaciółkę i, olśniony jej urodą, odezwał się nieco łagodniejszym głosem: - Jesteś bardzo piękna, Szafiro. Zdaję sobie sprawę, że daremne byłoby szukanie kobiety choć w połowie tak czarującej.

- Och, Alstonie, gdybym to ja mogła cię poślubić! Może... - urwała, bo wszedł jej w słowa markiz:

- Widziałem Carstairsa dzień przed wyjazdem. Wyglądał doskonale. Powiedział mi, że wyjeżdża na wyścigi do Doncaster.

- To dlatego wróciłeś!

Lady Carstairs poderwała się z sofy i podeszła do kochanka. Wziął ją w ramiona i przez długą chwilę przypatrywał się pięknej twarzy Szafiry, zanim zbliżył wargi do jej warg. Przywarła doń całym ciałem i pocałunki ich stawały się coraz gorętsze. Nagle markiz odsunął ją zdecydowanym ruchem i posadził na sofie.

- Posłuchaj mnie, Szafiro - powiedział. - Mam wiele ważnych rzeczy do załatwienia, ponieważ nie było mnie przez całe trzy dni.

- Ale zjemy razem kolację dziś wieczorem? - spytała.

- Tak, oczywiście.

- Och, Alstonie, wydaje mi się, że nie było cię całe wieki.

- Wiem - odparł. - Ale musisz być bardzo ostrożna i wystrzegać się zbytecznych słów. Znasz ludzką złośliwość. A ja nie życzę sobie, aby o nas plotkowano w Pałacu Buckingham czy gdziekolwiek indziej.

- Będę bardzo, bardzo ostrożna - przyrzekła mu. - Ale kocham cię i w twojej obecności nie potrafię myśleć o nikim innym ani też pamiętać, że ktoś jeszcze jest w pobliżu.

Nie była to zbyt oryginalna deklaracja, słyszał ją wielokrotnie, więc w odpowiedzi ucałował przyjaciółkę i rzekł:

- Muszę cię opuścić. Spodziewam się, że twój mąż wkrótce nadejdzie. Nie byłoby dobrze, gdyby narobił wrzawy.

- Jestem pewna, że niczego takiego by nie zrobił - rzekła prawie z oburzeniem.

Markiz nie słuchał.

- Uważaj na siebie - mówił. - Będę cię oczekiwał o wpół do ósmej wieczorem. - Po krótkim milczeniu dodał: - Myślę, że postąpię rozsądnie, jeśli zaproszę jeszcze kilka osób.

- Och nie, Alstonie! - wykrzyknęła dama. - Nie! Nie! Chcę być tylko z tobą.

- Dobrze. Wobec tego kiedy indziej zaprosimy przyjaciół - powiedział, zupełnie jakby rozmawiał sam ze sobą.

Podeszła do niego, a on objął ją jakby od niechcenia, zmierzając do wyjścia. Wtedy szybko pozbierała rozproszone myśli i przemówiła:

- Musisz mi przysiąc, Alstonie, na wszystko, co jest dla ciebie święte, że nie pozwolisz, by twoje okropne małżeństwo poróżniło nas i rozdzieliło. - Głos jej zadrżał, lecz mówiła dalej:

- Nie chcę cię stracić! Nie zniosłabym życia bez ciebie! Och, najdroższy, żadna kobieta nie miała nigdy tak doskonałego kochanka jak ja! Wołałabym raczej umrzeć niż istnieć bez ciebie!

Było to znowu wyznanie, które znał od dawna na pamięć, nie wywarło więc na nim żadnego wrażenia. W odpowiedzi rzekł po prostu:

- Porozmawiamy o tym wieczorem.

Ledwo postąpił ku drzwiom, lady Carstairs zawołała:

- Alstonie! Przecież nie powiedziałeś mi, którą pannę chcesz pojąć za żonę. Czy znam ją?

- Możesz zobaczyć ją na którymś z balów - odparł wymijająco. - Jest córką hrabiego Warnborough, którego dobra przylegają do moich.

Twarz lady Carstairs nie zdradzała żadnych uczuć.

- Nie pamiętam dziewczyny o nazwisku Warneborough.

- Warn...! - poprawił markiz. - Mówią o niej, że jest bardzo ładna.

- Mówią? Czy to znaczy, że jej jeszcze nie widziałeś?

- Wydaje mi się, że nie. Poznałbym ją w tym tygodniu, gdybym nie otrzymał od ciebie listu z wiadomością, że jesteś sama.

- Tak, sama, najdroższy, jeżeli nie liczyć ciebie. I wiem, że cudowna będzie ta moja samotność!

Markiz uśmiechnął się do niej i powiedział z ożywieniem:

- Naprawdę muszę już iść. Inaczej się spóźnię, co będzie mi poczytane za *faux pas*.

- A gdzie się wybierasz? - spytała dama ciekawie.

- Do pałacu - odparł. - Ale najpierw muszę się zobaczyć z Russelem przy Downing Street, by powiadomić go, że wkrótce będę się nadawał na królewskiego koniuszego.

Nie czekając na odpowiedź wyszedł z pokoju, nim zachłanne ręce przyjaciółki zdołały go powstrzymać. Schodząc ze schodów myślał z zadowoleniem, że rozmowa nie miała tak przykrego przebiegu, jak się spodziewał. Dotychczasowe doświadczenia nauczyły go, że wszystkie kobiety z miejsca chcą posiąść mężczyznę na własność. To było coś, czego nie znosił, lecz niestety nic na to nie mógł poradzić. Owa zaborczość pojawiała się wraz z podejrzeniem o zdradę, towarzyszyły jej łzy, oskarżenia i groźby popełnienia samobójstwa w razie jego odejścia. Ponieważ jednak nigdy nic takiego się nie zdarzyło, on zaś raz za razem musiał wysłuchiwać wszystkich tych bredni od nowa, doszedł do cynicznego wniosku, że jego piękne kochanki, mimo namiętnych deklaracji, naprawdę kochały jedynie i wyłącznie siebie. Niemniej sceny, w których musiał uczestniczyć, tak mu obmierzły, że nauczył się unikać ich z nie lada zręcznością. Dlatego też teraz bez najmniejszych skrupułów oznajmił Szafirze, że nie widział jeszcze swej przyszłej żony, wielce rad, iż dzięki genialnemu wybiegowi uniknął przykrości. Niepodobna wszak być zazdrosnym o kogoś, kto nawet nie ma twarzy.

Markiz często odnosił wrażenie, że kobiety, którym się podobał i z którymi uprawiał miłość, były bardzo zadowolone z jego kawalerskiego stanu. Większość mężczyzn z jego sfery

pozostawała w cieniu ojców, pod ich bezustanną presją, bez możliwości zademonstrowania swych zalet, bez szansy wypowiedzenia własnych sądów. On zaś odziedziczył tytuł ojca w wieku lat dziewiętnastu i od tej chwili sam sobie był „sterem, żeglarzem i okrętem”. Powodzenie u kobiet dawało mu poczucie pełni życia, tak że ani myślał się żenić, choć bywały momenty, iż twardo musiał bronić swej wolności. Działo się tak, ilekroć miewał do czynienia z wdowami. Pannom - w swej przezorności - nie okazywał zainteresowania. Wiedział, że byłoby to jednoznaczne z demonstracją zamiarów matrymonialnych. Gdy jednak lord John Russel powiadomił go o królewskich planach wobec jego osoby, pomyślał sobie, że funkcja koniuszego byłaby niezłą rekompensatą za beznadziejną i nieuchronną nudę życia w stanie małżeńskim. Najchętniej pojąłby za żonę niedoświadczoną, naiwną młodą kobietę, od której nie chciałby nic prócz syna-dziedzica. Skoro i tak wcześniej czy później trzeba będzie się ożenić, to może lepiej to zrobić teraz, gdy gorzką pigułkę chcą mu osłodzić koźmi z królewskiej stajni. Zaczął przeglądać w pamięci panny, które uczestniczyły we wczorajszym balu.

Stwierdził, że jedynymi niezamężnymi dziewczętami, które zdołał sobie przypomnieć, były damy towarzyszące młodej królowej. Nie dlatego je zapamiętał, że tworzyły jasną, wyróżniającą się grupę, ale że bacznie uważał, by nie wplątać się w nazbyt zażyłe związki z którąś z osób należących do świty królewskiej pary. Wieczory bowiem, które spędzał w Pałacu Buckingham, możliwie najrzadziej zresztą, były potwornie nudne, strzegł się więc, by z powodu żony nie popaść w obowiązek bywania na dworze. „Jedno z nas przy królowej - to dość”, powiedział sobie. Myśląc o przyszłej małżonce, widział ją w Falconie, i tylko tam. Do Londynu zabierałby ją, gdyby to było absolutnie konieczne.

Rozpaczliwie szukając wyjścia z sytuacji, wtajemniczył w nią jednego ze swych najbliższych przyjaciół, majora Karola Marriotta, który należał do Królewskiej Gwardii Konnej i który również był zdania, że w całym królestwie nie ma nikogo, kto by bardziej niż Alston nadał się na koniuszego. Od razu jednak zaznaczył, że pomysł ożenku dla zdobycia stanowiska budzi w nim odrazę.

- Przecież zawsze, Alstonie, wzdragałeś się na samą myśl o małżeństwie - powiedział. - I wiesz równie dobrze jak ja, że nawet najbardziej olśniewająca piękność sprzykrzy ci się po miesiącu. Jakże więc zdołasz wytrzymać z jedną kobietą przez całe życie?

- A kto mówi o całym życiu? - odparł krótko markiz. - Rusz głową, Karolu, i pomóż mi. Przecież chyba znasz jakieś panny na wydaniu?!

- Nie na tyle, bym mógł ci pomóc - odparł major. - Zaraz, czekaj no! - Przytknął palce do czoła, jakby chcąc pomóc myślom. - W zeszłym sezonie zwróciłem uwagę na uroczą dziewczynę. Prawdę mówiąc, przypominała mi Szafirę Carstairs.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądała jak Szafira?

- Raczej jak jej blade odbicie.

- Znasz nazwisko tej osoby?

- Usiłuję sobie przypomnieć. A tak! Jest córką Warnborougha, bywalca White Club. Wiesz, to ten z czerwoną twarzą. Zdaje się, że jest twoim sąsiadem.

- Hrabia Warnborough! - wykrzyknął markiz. - Rzeczywiście nasze majątki sąsiadują ze sobą.

- Doskonale! - ucieszył się Marriott. - Czy może być coś odpowiedniejszego? Przynajmniej wiesz, z jakiej stajni ona pochodzi, i po ślubie nic cię nie zaskoczy.

- To zaiste jest myśl! - zgodził się markiz. - No i lubię Warnborougha. Dobrze jeździ konno, naprawdę dobrze. Poza tym ma sforeę psów, którą od czasu do czasu wypożyczam do polowań.

- A więc problem rozwiązany - skonkludował major. - Myślę, że należałoby to opisać.

Kilka dni później markiz natknął się na hrabiego Warnborougha w White Club i pomyślał, że jest to doskonała sposobność, by zasugerować mu, że skoro ich ziemie graniczą ze sobą, to i rodziny mogłyby się do siebie zbliżyć. Wyraził to - jak mu się zdawało - taktownie i nawet z pewną elegancją, a hrabia uśmiechnął się i skinął aprobująco głową.

Dwa dni później doszedł do wniosku, iż powinien potwierdzić swoją propozycję na piśmie. Odpowiedź hrabiego, przyniesiona z Warne Park przez chłopca stajennego, całkowicie go usatysfakcjonowała. Napisał do hrabiego drugi list, informujący, że niestety musi bezzwłocznie udać się na dwa tygodnie do Londynu, lecz byłby nad wyraz szczęśliwy, gdyby po powrocie mógł zjeść obiad w Warne Park, a kilka dni później w Falconie w towarzystwie hrabiego, jego małżonki i córek.

Wyruszał do Londynu z miłym uczuciem, że załatwił to, co miał załatwić, i teraz nic nie przeszkodzi królowej w mianowaniu go koniuszym. List od Szafiry, który nadszedł do Falconu, uświadomił mu, że nowiny te mogą wytrącić przyjaciółkę z równowagi. Postanowił więc, że tę przeszkodę weźmie „jednym skokiem”, bez uników i wybiegów.

I oto poszło mu lepiej, niż śmiał się spodziewać. Wyszedł od Szafiry z uczuciem głębokiej ulgi i zaraz zaczął myśleć o tym, że wkrótce spotka się z premierem, od którego dowie się, ile pieniędzy będzie mu wolno wydać na dokonanie pilnych i nieodzownych zmian w Mews. Uważał, że w obecnym stanie Królewskie Stajnie mogłyby uchodzić co najwyżej za kurnik prowincjonalnego handlarza, a nie za pomieszczenie dla koni panującego monarchy.

Po odejściu markiza lady Carstairs pomyślała z rozpaczą, że po ślubie przyjaciel przestanie ją odwiedzać. Zaraz wszakże zwyciężył głos rozsądku: przecież i ona jest zamężna, a mimo to spotyka się z nim bez przeszkód. No a jeżeli żoną Alstona zostanie młoda i niezbyt mądra dziewczyna, łatwiej mu będzie utrzymywać ją w nieświadomości aniżeli doświadczoną kobietę. „Będzie dobrze! Wiem, że wszystko doskonale się ułoży” - pocieszała się, spoglądając na swoje odbicie w lustrze i myśląc z satysfakcją, że nie ma kobiety równie uroczej jak ona.

Zarazem dygotała z wściekłości na myśl, że jakieś niepozorne dziewczę, z racji posiadania tytułu markizy Falcon, będzie nosić przepiękne klejnoty, których zawsze pożądała, siedząc przy końcu stołu w wielkopańskiej jadalni jako gospodyni przyjęć urządzanych przez przyjaciela. To było miejsce, jakie mogła zajmować podczas kilku ostatnich pobytów w wiejskiej posiadłości Falcona. „Znienawidzę ją” - powiedziała do swojego odbicia w lustrze. Jej błękitne oczy rozbłysły, usta wykrzywiły się w brzydkim grymasie. Nagle roześmiała się i dodała: „A nienawidząc jej będę dla niej czarująca i uczynię z niej swoją przyjaciółkę! Sprawię, że wkrótce będzie pragnęła mojej obecności w swoim domu londyńskim oraz na wsi i, oczywiście, nie potrafi się obejść bez moich rad we wszelkich swoich poczynaniach. W ten sposób będę widywała Alstona częściej niż kiedykolwiek.” Lady Carstairs z przyjemnością skonstatowała, że jest bardzo inteligentna. Zwykle o pięknych kobietach mawiało się, że są ograniczone, ale ona była dumna ze swej inteligencji, niepomrotnie błyskotliwszej niż u innych dam. W tej chwili zaś instynkt samoobrony przydał jej bystrości i przenikliwości.

Przed zamążpójściem lady Carstairs nie była nikim szczególnie ważnym. Jej ojciec, wdowiec, posiadał mały wiejski majątek i akurat tyle pieniędzy, by zaprezentować swoją córkę na dworze królewskim. Chociaż zawsze uważał, że Sara jest prześliczna, podobnie jak jej matka, którą uwielbiał, niebywały sukces córki w świecie przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Podziwiana i adorowana przez przyjaciół Sara rozkwitała jak róża z miesiąca na miesiąc i wkrótce uznano ją za najpiękniejszą dziewczynę w Anglii.

Lord Carstairs, którego pierwsza żona zmarła przy porodzie, był statecznym mężczyzną w wieku lat trzydziestu ośmiu. Na widok Sary oniemiał z zachwytu i choć był od niej starszy,

przekonał jej ojca, że powinien wyrazić zgodę na ich małżeństwo. Bez wątpienia stanowił dla dziewczyny świetną partię, daleko świetniejszą, niż mogła się spodziewać. Toteż w końcu pierwszego sezonu stanęła na ślubnym kobiercu.

Od tej chwili urzekala i zniewalała już nie tylko świat, w którym pojawiła się jako debiutantka. Daleko istotniejszy i głębszy wpływ wywierała na ludzi, którzy bywali w wielkich domach Londynu. Przed ożenkiem z Sarą lord Carstairs miał ograniczony wstęp do tego świata. Teraz wszystkie drzwi stanęły przed nimi otworem. Ktoś powiedział kiedyś cynicznie, że aby wejść do angielskiego towarzystwa, trzeba mieć tytuł i pieniądze. Zapomniał dodać, że kobiecie potrzebna jest do tego uroda. Bo to prawda. Uroda jest przepustką na każde przyjęcie, każdy bal, każde zebranie, zwłaszcza w Pałacu Buckingham.

Sara Carstairs posiadała wszystko, co otwierało drzwi do krainy baśni. Już po pięciu latach małżeństwa zdała sobie sprawę, że niektórzy mężczyźni podczas rozmowy lub tańca przygotowują ją o nieporównanie szybsze bicie serca niż własny mąż. Gdy wzięła sobie pierwszego kochanka, była przerażona. Z czasem jednak wyrzuty sumienia ucichły, ona zaś nauczyła się utrzymywać Edwarda w szczęśliwej nieświadomości. Dopiero kiedy poznała markiza, zrozumiała, że nie potrafi myśleć o nikim innym, i mąż zszedł na bardzo daleki plan. Markiz zawładnął całkowicie jej umysłem, a nawet jej snami. Nie tylko dlatego, że był najprzystojniejszym i najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. On pokazał jej wspanialszy i czarowniejszy świat niż ten, w którym dotychczas bywała. Jego dobra i majątki, zdaniem Sary, a także wielu innych ludzi, nie ustępowały królewskim pałacom.

Lecz najbardziej nieodparty urok markiza - urok, który pociągał ją i wiele innych kobiet przed nią w sposób trudny do opisanania - tkwił w jego zagadkowości. Żadna z nich, widząc go dzisiaj, nie mogła mieć pewności, czy ujrzy go jutro. Żadna nie zdołała poznać go do końca, tak, aby móc powiedzieć, że należy do niej. Setki kobiet płakały z jego powodu, jakby był nieosiągalny i daleki niczym Księżyc.

- On jest mój! Jest mój! - powiedziała do siebie Szafira, wiedząc, że to nieprawda. Bo chociaż markiz, przynajmniej na pozór, żenił się z rozsądku, sama myśl o jego ożenku wydała jej się nagle nieoczekiwanym zagrożeniem.

Gdy Elmina dowiedziała się, że markiz wyjechał do Londynu i nie wróci na wieś przed upływem dwóch tygodni, odetchnęła z ulgą. A więc będzie miała dość czasu na sprawienie sobie porządnej garderoby, a także na przygotowanie się do czegoś w rodzaju serii trudnych sko-

ków, które trzeba wykonać z nienaganną zręcznością, a do których nie była jeszcze całkiem przygotowana.

Dzień zszedł jej na rozpamiętywaniu chwili, kiedy ujrzała markiza po raz pierwszy podczas wyścigów, na rozmyślaniu o posiadłości Falcon i o koniach. W konkluzji stwierdziła, że jest mało prawdopodobne, by mężczyzna taki jak on zechciał wziąć za żonę kobietę taką jak ona. Przecież już sam jej widok - zamiast widoku Mirabel - może go przyprawić o wstrząs. Dopiero teraz zrozumiała w pełni uwagę ojca o kupowaniu kota w worku. Cóż by jej z tego przyszło, że miałby to, na co sobie zasłużył? Byłaby niepokieszona, gdyby ujrzawszy ją oświadczył z całą stanowczością, że go oszukano. Toż przecież w Londynie zobaczył właśnie Mirabel i ją z daleka admirował, a jej nigdy nie widział.

- Muszę sprawić, by pokochał mnie taką, jaka jestem - postanowiła dziewczyna, wiedząc, że nie będzie to łatwe.

Podczas konnej przejażdżki z ojcem starannie unikała rozmowy o markizie, podejmując tematy związane ze stanem majątku. W istocie i ją, i hrabiego nurtowała sekretna myśl, że skoro markiz jest ich sąsiadem, a wkrótce, być może, stanie się członkiem rodziny, będzie mógł pomóc im w przewyciężeniu kłopotów, które w tej chwili ciążyą na rodzinnym budżecie. Nie chodziło tu o pieniądze. Raczej o pozyskanie najlepszych w kraju ogierów i byków rozplodowych ze stajni i obór markiza dla klaczy i krów hrabiego. Stałyby się one częścią wspólnej własności, podobnie jak narzędzia rolnicze - młockarnie i pługi - jak robotnicy pracujący przy orce i żniwach.

W gruncie rzeczy - doszła do wniosku Elmina - nasze małżeństwo mogłoby być zbawienne dla ojca. Po chwili jednak stwierdziła, że nie tylko o to jej chodzi, że pragnie czegoś więcej. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który by dorównywał markizowi lub w ten czy inny sposób uosabiał ideał, jakim był dla niej właśnie on. Nigdy żaden młody mężczyzna nie wywarł na niej tak dużego wrażenia, z wyjątkiem może wielbiciela Mirabel, Roberta, którego polubiła od pierwszego wejrzenia i uważała, że siostra byłaby kompletną idiotką, gdyby nie pokochała tego chłopca. Wszyscy inni mężczyźni wydawali się głupi i zepsuci. Wielu z nich nie potrafiło jeździć należycie konno i nic albo prawie nic nie wiedzieli o tych zwierzętach. Był to wystarczający powód, aby nimi gardzić.

- Cóż to za mężczyzna, który dosiada konia tylko do przejażdżek, lecz nie dba i nie troszczy się o niego ani trochę - powiedziała gniewnie do ojca, mając na myśli jednego z gości, który nazbyt srogo obchodził się ze swoim wierzchowcem.

- Za wiele wymagasz - mruknął hrabia.

- Nie mogę wymagać mniej - odparła Elmina. - Musiałabym odejść od swoich zasad. Ty jesteś doskonałym jeźdźcem, każdy to wie, a zarazem kochasz swoje konie i się o nie troszczysz.

- Myślę - zaśmiał się - że tak naprawdę, to ty dbasz o nie, a nie ja. I gdybym zaniedbał czegokolwiek, co dotyczy stajni, z całą pewnością zmusiłabyś mnie, abym się poprawił.

- To ty nauczyłaś mnie wszystkiego, co wiem o koniach - upierała się Elmina.

Wiedziała, że sprawia tym ojcu przyjemność. Ale wracając potem do swojego pokoju myślała, że w rzeczywistości nie ojciec, lecz Czang wprowadził ją w tajniki wiedzy o tych zwierzętach. Nauczył ją tak wiele, że - choć już wcześniej była znakomitą amazonką - teraz, gdyby zechciała, poradziłaby sobie z każdym wierzchowcem na świecie. Co więcej, nauczył ją ju-jitsu i karate, o czym rodzice nie mieli pojęcia. Gdyby im powiedziała, byłiby zdumieni, a może nawet zaniepokojeni. Czang również nie przechwalał się swymi umiejętnościami. Twierdził, że mistrzowi to nie przystoi.

Zdarzyło się jednak pewnego wieczoru, że Elmina zobaczyła Czanga w akcji. Wchodziła właśnie do stajni, gdy jakiś kompletnie pijany handlarz zaczął mu wygrażać. Przybył dopiero co ze swym ładunkiem i już zaprzągnął konia do wozu, by ruszyć z powrotem. Biedne zwierzę było złane potem i wyczerpane morderczą jazdą. Zaczął je więc niemiłosiernie okładać batem. Wtedy Czang nie wytrzymał. Handlarz, wysoki i krzepki drab, zeskoczył na ziemię i chwyciwszy bat za gruby koniec, niczym kij golfowy, zamachnął się na Czanga. Jakże drobny był Chińczyk w porównaniu z wielkim i uzbrojonym przeciwnikiem. Elmina stanęła nie opodal, gotowa w razie potrzeby wkroczyć do akcji, lecz wtedy zdarzyło się coś, co wprawiło ją w osłupienie. Gdy pijany napastnik próbował trafić Czanga w głowę tępym trzonkiem, stajenny uleciał nagle w powietrze i zaraz opadł na ziemię. Przez sekundę Elmina myślała, że się już nie poruszy. Ale wtedy Czang, wyrzucając nogę niby stalową klingę, uderzył przeciwnika, odrzucając go na odległość sześciu stóp. Trafiony runął jak długi na klepisko. Czang podszedł doń, wyjął mu bat z rąk i złamał na pół. Potem pomógł handlarzowi stanąć na nogi i wejść na wóz. Na koniec podszedł do zmęczonego i wystraszonego konia, pogłaskał go i szepnął mu coś do ucha, surowo napomniał woźnicę, by nie zamęczał zwierzęcia, i wyprawił srogo ukaranego awanturnika w drogę.

- Jak ty to zrobiłeś? - spytała Elmina.

- To jest karate, milady - odparł Czang, uśmiechając się na widok jej osłupienia.

- Co to takiego? Wyjaśnij mi dokładniej - poprosiła.

To był początek. Zaczął ją uczyć sztuki samoobrony, koniecznej i niezawodnej. Ale nie tylko. Zaczął jej też wpajać nowe zasady myślenia. Od niego dowiedziała się, że metoda walki przy użyciu gołych jedynie rąk rozwinęła się jednocześnie w Indiach i Chinach na długo przed przybyciem tam Bodhidharmy w Roku Pańskim 520. Tak bardzo ją to zainteresowało, że musiał jej opowiedzieć o tym hinduskim mnichu, który był trzecim dzieckiem króla i przeświewnym uczniem zen. Założył sektę, której członkowie uczyli się specjalnej techniki oddychania, na niej bowiem zasadzał się legendarny system walki, w której jedyną bronią była koncentracja umysłu.

Czang opowiedział również Elminie o kung-fu i o tym, jak przez stulecia mnisi Chin i Japonii ćwiczyli kempo.

Wszystko to fascynowało dziewczynę i wkrótce zapragnęła nauczyć się walki w obronie własnej. Chińczyk z wielką ochotą przystąpił do pracy. Bez trudu znalazł sposób prowadzenia lekcji bez niczyjej wiedzy.

Ponieważ dom był bardzo duży, piętnaście lat temu zamknięto szczytowe piętro. Było to małe i niewygodne poddasze, gdzie przeważnie sypiała służba. Całkiem łatwo dało się przenieść pokojówki piętro niżej, niańki jeszcze niżej, a służących zaś płci męskiej ulokowano na parterze nie opodal spiżarni. Tak więc nikt teraz nawet nie zaglądał na strych, toteż Czang, nie zauważony przez nikogo, wysprzątał największe pomieszczenie i przyniósł tam kilka mat, żeby Elmina, padając na podłogę, nie zrobiła sobie krzywdy.

Elmina z kolei znalazła w zapomnianej komodzie parę długich czarnych domowych pantalonów ojca z czasów jego młodości. Noszono takie za czasów Jerzego IV. Przylegały ściśle do jej bioder i nóg. Z kawałka czarnej satyny, wyrzuconej przez matkę, dorobiła sobie do nich tunikę na wzór stroju Czanga. Ubiór ten pozwalał jej wykonywać z łatwością wszystkie ruchy karate; matka, gdyby ją w tym ujrzała, byłaby przerażona.

Elmina i Czang spędzali razem wiele godzin, nie budząc niczyich podejrzeń. Wreszcie nauczyciel mógł z satysfakcją stwierdzić, że jest kimś więcej aniżeli biegłą w sztuce uczennicą. Potrafiła już się bronić i niełatwo byłoby pokonać ją byle napastnikowi.

Ona zaś była niezmiennie zainteresowana sposobem myślenia, który tkwił u podstaw sztuki karate, a wywodził się z jednego z najciekawszych i najbardziej fascynujących systemów filozoficznych o dalekowschodnim rodowodzie. Od Czanga dowiedziała się wielu rzeczy o buddyzmie i pogłębiała swoją wiedzę, wybierając sobie odpowiednie lektury z biblioteki do-

mowej lub sprowadzając je z Londynu. Czang nauczył ją także rozumieć zen oraz filozofię Konfucjusza. On wreszcie sprawił, iż zaczęła wierzyć w swoją karmę, podobnie jak on wierzył w swoją.

Dziwna to była edukacja jak na dziewczynę niespełna osiemnastoletnią.

Ilekcję Elmina wspinała się po skrzypiących schodach na poddasze, niosąc swoje czarne pantalone oraz tunikę, miała nieodparte wrażenie, iż wszystko, o czym opowiedział jej Chińczyk, stanowi część jej karmy. Także to, co w niepojęty sposób wiąże się z jej zamiarem poślubienia markiza Falcon.

TLR

Rozdział 3

Markiz powrócił do Falconu w znakomitym nastroju. Został mianowany królewskim koniuszym, a królowa powinszowała mu zamiaru zawarcia małżeństwa. Obiecano mu również całkiem sporą sumkę na renowację Królewskich Stajni i zdano się na niego w sprawie doboru zwierząt do nowej stadniny. Powinny być to konie godne zaprzęgu królowej, jak również odpowiednio, by brać udział w uroczystościach państwowych.

Markiz zabrał się do rzeczy z wielkim zapałem i nie szczędząc czasu, tak że Szafira uskarżała się, iż ją zaniedbuje.

- Nie zaniedbuję cię - tłumaczył. - Mam po prostu wiele do zrobienia. Powinnaś zrozumieć, że kiedy mężczyzna ma dużo pracy, kobieta musi zejść na drugi plan.

Lady Carstairs, tłumiąc wściekłość, zdobyła się na pytanie:

- Jak możesz mówić rzeczy tak okrutne, skoro wiesz, że budzę się z myślą o tobie i myśl ta nie opuszcza mnie już ani w dzień, ani też w nocy, o ile nie spędzasz jej ze mną.

Jej głos brzmiał miękko i uwodzicielsko, a słowa były dokładnie takie, jakich przyjaciel się spodziewał, toteż nie przywiązywał do nich najmniejszej wagi. Za to, korzystając z nieobecności męża, wziął kochankę w ramiona i pieścił aż do świtu, ku jej nieopisanej rozkoszy. Nie wiedziała, biedaczka, że wracając potem do domu, dwie ulice dalej, nie poświęcił jej nawet jednej myśli, całkowicie zaabsorbowany swoimi końmi. Pamiętał, że jutro, a raczej już dzisiaj, musi wrócić na wieś, by obejrzyć zwierzęta, które niedawno nabył. Dopiero przed domem uświadomił sobie, że przecież wieczorem ma zjeść kolację u Warnboroughów, by poznać swoją przyszłą żonę. Wzdrygnął się na myśl o nudzie, która go czeka, zwłaszcza gdy jest tyle do zrobienia. Jednakże rzecz została postanowiona - wymienił już z hrabią parę listów na ten temat. Chętnie by to odłożył i skupił się na ważniejszej sprawie - Królewskich Stajniach. Przecież wszystko już jest ułożone. Nawet termin ślubu z grubsza ustalony.

Markiz byłby zapewne zdumiony, gdyby się dowiedział o niepokoju i poruszeniu, jakie zapanowały w Warne Park na wieść o jego wizycie. Hrabina kilkakrotnie wzywała kucharkę i zmieniała menu stosownie do jej sugestii. Pani Oliver pracowała w kuchni ponad dwadzieścia lat i zawsze decydowała, co goście będą jedli na obiad, toteż hrabina aprobowała jej propozycje bez zastrzeżeń.

Lady Warnborough posłała do Londynu po suknie dla Elminy, uważając, że musi się tym zająć przed wyznaczeniem dokładnej daty ślubu. Potem zabierze córkę do stolicy, by sprawić

jej wyprawę ślubną. Z zamieszania, jakie czyniła, dziewczyna wysnuła aż nazbyt jasny wniosek, że matka zdaje sobie w pełni sprawę, iż jej córka będzie musiała zmierzyć się z pięknosciami, które dotąd stanowiły otoczenie markiza. Sama zdążyła już rozważyć ten problem, a o damskiej kompanii sąsiada wiedziała o wiele więcej, niż rodzice mogli przypuszczać. Był on przecież nie tylko najważniejszym człowiekiem w okolicy, ale i najbardziej fascynującym mężczyzną w całym sąsiedztwie, toteż rozprawiano na jego temat bezustannie. Zarówno ci, którzy najbliżej mieszkali, jak też wieśniacy oraz robotnicy zatrudnieni w jego dobrach. Gadali o nim nieprzerwanie. Cokolwiek powiedział i cokolwiek uczynił, lotem błyskawicy obiegało okolicę.

Tak się złożyło, że wieloletnia pokojówka hrabiny była spokrewniona z głównym lokajem w Falconie. W wolne dni regularnie odwiedzała jego matkę, największą plotkarkę ze wsi, mieszkającą w dobrach hrabiego. Od niej właśnie Elmina dowiadywała się mnóstwa rzeczy o sąsiedzie. Najbardziej owocna okazała się jednak jej własna wizyta w Falconie zaraz po wyjeździe markiza do Londynu. Ponieważ nic nie mogło się tam wydarzyć bez wiedzy służby, z twarzy Hogsona wyczytała natychmiast po wejściu do stajni, że jest on świadom małżeńskich planów swego pana. Być może podsłuchał jego rozmowę na ten temat lub lokaj towarzyszący markizowi w podróży do stolicy przywiózł stamtąd ową smakowitą pogłoskę. A może po prostu zwrócił uwagę na częste kursowanie posłańców pomiędzy Falconem a Warne Park i wysnuł z tego wnioski. Skądkolwiek się dowiedział, Elmina była pewna, że wie.

Gdy wędrowała jak zwykle od boksu do boks, podziwiając nowe konie i witając się wylewnie z tymi, z którymi była już zaprzyjaźniona, po raz pierwszy wyczuła instynktownie, że Hogson odnosi się do niej z rezerwą. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Miała nadzieję, że nie jest to zapowiedź przyszłych między nią a stajennym stosunków, ponieważ bardzo sobie ceniła przyjaźnię ze służbą Falconu i nie chciała ich stracić. Tak więc z wdziękiem i wycuciem, którego nauczył ją Czang, pokonała ów dystans i sprawiła, że Hogson znów zaczął odnosić się do niej tak jak przedtem, nim zaczął widzieć w panience z Warne Park swoją przyszłą panią. Podobnie potraktowała ochmistrzynię i zarządcę majątku.

Główny lokaj był jej dłużnikiem, ponieważ przyniosła mu kiedyś specjalne zioła przeciwreumatyczne, które matka przyrządziła według recepty babci.

Poza tym dom wydał jej się inny niż dotychczas. Stwierdziła, że przygląda mu się nie tylko z podziwem, ale i ze świadomością, iż będzie to jej przyszły dom. Nie mogła sobie wyobrazić nic cudowniejszego aniżeli radość posiadania dostępu do wszystkich ksiązek z biblio-

teki czy możliwość delektowania się do woli obrazami oraz innymi skarbami tego domu. Należą wszak do człowieka, który ma zostać jej mężem.

Im więcej myślała o markizie, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że aczkolwiek jest wspaniałą, stanowi przecież problem, z którym będzie się musiała zmierzyć. Wcale niełatwy problem.

Wreszcie, odłożywszy na bok dumę, po męczącej lekcji karate usiadła na macie ze skrzyżowanymi nogami i rzekła do Czanga:

- Chcę z tobą porozmawiać.

Usiadł, podobnie jak ona, w pozycji jogi, z wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi nogami. Był, oczywiście, wtajemniczony w jej sekret i patrzył na nią z wyrazem zrozumienia w swoich błyszczących oczach. Zanim zaczęła, powiedział:

- Nie powinnaś się martwić, milady. Myślisz prawidłowo. Wszystko jest na swoim miejscu.

Elmina leciutko westchnęła.

- Łatwo ci mówić, ale ja mimo wszystko się martwię. Wiesz przecież, jaki on jest władczy. Czy mógłby kiedykolwiek zainteresować się moją osobą?

To pytanie nurtowało ją bezustannie, ilekroć zostawała sama ze swoimi myślami. Była dostatecznie inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że skoro zawsze stawiano ją na trzecim miejscu po jej pięknych siostrach, to nie ma teraz powodu, by czuć się zbyt pewnie jako kobieta. Rosła ze świadomością, że jej narodziny były przykrym rozczarowaniem dla ojca i że traktował ją jak chłopca, aby sobie zrekompensować tę przykrą niespodziankę. Zabierał ją na przejażdżki konne, rozmawiał z nią o problemach związanych z zarządzaniem dobrami, a nawet kiedy byli sami pozwalał jej strzelać, co niewątpliwie nie było odpowiednim zajęciem dla dziewczyny. A jednak czuła, że nie kocha jej ani nie zachwyca się nią tak jak Mirabel. Przebywał w jej towarzystwie z braku innego. Kiedy narodził się Desmond, Elmina dostrzegła w oczach ojca wyraz, który sprawił jej ból nie do zniesienia. Chciała zebrać u niego o odrobinę miłości, ponieważ znaczył dla niej bardzo wiele. Ale potrafiła spojrzeć przykrej prawdzie w oczy: serce nie sługa, nie można mu niczego nakazywać ani też zabraniać. Próbowwała sobie tłumaczyć, że przecież ojciec nadal uszczęśliwia ją swoim towarzystwem i będzie tak jeszcze przez parę lat. Dopiero gdy Desmond zajmie jej miejsce przy jego boku, zostanie ostatecznie odtrącona.

Tymczasem, nieomal jak meteor przelatujący po niebie, zjawił się markiz. Ponieważ żadna z jej pięknych siostr nie chciała go poślubić, ona postanowiła to zrobić. Nie chodziło jej jednak o to, by zostać markizą Falcon. Oczekiwała więcej, o wiele więcej od człowieka, którego pojmie za męża. Mówiąc po prostu, oczekiwała tego, czego nigdy nie zaznała - uczucia. Zdawała sobie sprawę, że bardzo niewiele wie o miłości między kobietą a mężczyzną. Zauważyła wprawdzie, jakim wzrokiem wodzi Robert za Mirabel, jaki głęboki staje się głos Chrisa rozmawiającego z Deirdre. Domyślała się, że są to zewnętrzne oznaki czegoś, co kryje się w głębi ich serc, a co pisarze zwykli nazywać „namiętnością”. „Być może nigdy tego nie zaznam” - myślała w zadumie.

Ubrana w nową suknię, przyglądała się swemu odbiciu w lustrze oczekując przybycia markiza do Warne Park. Krawcowa z Londynu przygotowała dla niej trzy toalety, każdą w innym stylu. Pierwsza była uszyta ze sztywnej białej satyny, przybranej różowymi różami. Mirabel wyglądałaby w niej niczym boginka. W przypadku Elminy jednak suknia uwydatniała wątlność jej figury i zlewała się z barwą skóry i włosów. Różniły się one od włosów siostr, stanowiąc częsty przedmiot różnych domysłów. Głowa Mirabel była koloru dojrzałego zboża, włosy Deirdre lśniły ciepłym blaskiem popołudniowego słońca, natomiast najmłodsza z siostr - z przyczyn dla nikogo niepojętych - była zupełnie białowłosa. Starsze raz po raz przygadywały jej żartobliwie:

- Gdybyś miała różowe oczy, mogłabyś uchodzić za albinoskę.

Niekiedy głowa Elminy zdawała się lśnić srebrną poświatą i nawet - o dziwo - w blasku słońca nie zapalała się czerwonymi połyskami, jak głowa Mirabel, czy złotymi, jak główka Deirdre.

Ponieważ nikt nie wydawał się zainteresowany jej wyglądem, a koniom - jak mawiała zrezygnowana dziewczyna - było obojętne, czy jest ładna, czy brzydka, upinała po prostu swoje długie, sięgające do pasa sploty w kok, ilekroć wybierała się na przejażdżkę.

Teraz jednak, pełna obawy, że jej uczesanie nie spodoba się markizowi, dostrzegła w swych oczach wyraz krańcowego przygnębienia. One również nie były takie jak oczy siostr. W pewnym oświetleniu szare, w innym przybierały odcień zielony, tak że Deirdre dogadywała jej, iż te kocie oczy na pewno potrafią widzieć w ciemności. Dziwne też były rzęsy Elminy wygięte jak u dziecka ku górze, na końcach ciemne, u nasady zaś białe. Dzięki temu jej oczy wydawały się ogromne, zwłaszcza że twarz była drobna i pociągła. Ćwiczenia fizyczne, którym się oddawała, codzienne przejażdżki oraz wyczerpujące walki z Czangiem sprawiły, że nie miała na so-

bie ani grama tłuszczu. W gruncie rzeczy była zbyt szczupła, by ubierać się stosownie do mody ustanowionej przez małą i pulchną królową, tęższą z każdym rokiem od chwili zamążpójścia. Chociaż nikt w Warne Park tego nie dostrzegał, Elmina była piękna urodą jedyną w swoim rodzaju, nie tak rzucającą się w oczy jak uroda jej sióstr, ukrytą przez lata pod byle jakimi ubraniami i zaniedbaną. Toteż teraz, świadoma ważności pierwszego spotkania z markizem, dziewczyna przeżywała udrękę. Tym bardziej że stosownie do życzenia matki musiała zrezygnować akurat z tej spośród londyńskich sukien, którą sobie upodobała. Uszyta z błękitnego, mieniącego się srebrzyście materiału, zdobna srebrnymi wstążkami, przypominała niebo o zmierzchu z nikłymi światełkami pierwszych gwiazd. Wstążki lśniły przy każdym poruszeniu i odbijały srebrne połyski świec w jej włosach.

Królowa wprowadziła modę obszernych spódnic na sztywnych halkach i maleńkich staników, spadzistych nagich ramion i narzutek wdzięcznie opadających na piersi. Narzutka Elminy była haftowana srebrnymi cekinami, dobranymi do wstążek przy spódnicy, i dostatecznie przejrzysta, by poprzez błękit materii można było dojrzeć zarys piersi dziewczęcia.

- Muszę przyznać, że wyglądasz nadspodziewanie dobrze - zauważyła hrabina. - Ale myślę, że powinnaś włożyć białą suknię.

- Biała nie jest dla mnie odpowiednia, mamó - odparła stanowczo Elmina. - Włożę inną.

Była to kreacja o delikatnym blad różowym kolorze, który tak bardzo zawsze lubiła. Lecz kiedy włożyła ją na siebie, okazało się, że wygląda zbyt młodo jak na pannę sposobiącą się do zamążpójścia. Wobec tego zdecydowała się na bardziej wyszukaną suknię srebrnobłękitną. Jednakże w niej również nie wyglądała na swoje osiemnaście lat, które przecież skończyła w zeszłym tygodniu. Odbicie w lustrze pokazywało dziewczynę o trzy, cztery lata młodszą. Ale nic już nie mogła na to poradzić.

Zstępując po schodach myślała o tym, że markiz będzie porównywał teraz jej mizerną urodę z pięknnością lady Carstairs, swej aktualnej - była tego pewna - faworyty. Tyle czasu zmiętrzęła w sypialni, że będąc ledwie w połowie schodów, ku swej konsternacji usłyszała turkot powozu przed frontowymi drzwiami. Gość już nadjeżdżał.

Barton stał na górnym stopniu, a dwaj lokaje rozwijali w pośpiechu od frontowych drzwi do powozu czerwony, mocno zużyty dywan. Elmina zawahała się, czy schodzić dalej, czy też wrócić tam, skąd wyszła - i utknęła, niepewna, dezorientowana. Markiz zaś, jak zawsze szybki, wbiegł do holu, spojrział w górę i zobaczył ją. Teraz już musiała zejść, by go powitać. Wyciągał do niej rękę.

- Dobry wieczór - powiedział, a ona złożyła mu głęboki ukłon. - Jak przypuszczam, jest pani jedną z córek gospodarza. O ile mi wiadomo, ma ich trzy.

- Jestem najmłodsza, milordzie.

- A ja jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać - odparł szarmancko.

- Rodzice oczekują pana w salonie - mówiła Elmina, już opanowana. - Zechce pan pójść tędy?

Gość pozwolił, by Barton zdjął mu z ramion wieczorowe okrycie, obszyte czerwoną lamówką, następnie wręczył lokajowi swój wysoki cylinder oraz laskę z połączoną rączką. Dopiero wtedy odpowiedział:

- Jestem gotów.

Zastanawiała się gorączkowo, jak mu dać do zrozumienia, że jest jego przyszłą narzeczoną, ale doszła do wniosku, że to bardzo kłopotliwe i lepiej zdać się na mamę i papę. Markiz z bliska wydawał się o wiele potężniejszy niż z daleka, na polu łowieckim czy torze wyścigowym. Również jego dłoń, gdy, zdjawszy rękawiczki, dotknął jej ręki, emanowała wibracjami nieomal przebijającymi skórę. Elmina wiedziała od Czanga, że wszystkie żywe istoty, nie tylko ludzkie, promieniują energią. Opowiadał jej o ludziach, którzy czerpią siłę i moc z drzew; o buddystach, którzy nigdy nie zrywają kwiatów, by nie niszczyć życia; o mnichach, którzy wymiatają spod swoich stóp owady, by któregoś nie rozdeptać podczas wędrówki. Znała władzę Czanga nad zwierzętami i była pewna, że pochodzi ona z owych wibracji. Próbowwała iść drogą, którą Chińczyk jej wskazywał, i stopniowo zdobywała panowanie nad własną energią. Potrafiła już używać jej z rozwagą, miast rozpraszać bez żadnego szczególnego celu.

Teraz zastanawiała się, czy markiz odczuł jej wibracje, tak jak ona odczuła jego, ale doszła do wniosku, że to absolutnie niemożliwe.

Barton tymczasem dotarł do drzwi salonu, otworzył je ceremonialnym gestem i zaanonsował swoim stentorowym głosem:

- Markiz Falcon, milady!

Elmina zatrzymała się, aby przepuścić markiza przodem, i zobaczyła całą rodzinę przygotowaną na przyjęcie znakomitego gościa. Ojciec wyglądał niezwykle dystyngowanie w wieczorowym ubraniu, matka wprost jaśniała od brylantów. Mirabel miała na sobie ową uroczą białą suknię, w której prezentowano ją królowej, a Deirdre - toaletę w ulubionym bladozielonym kolorze.

Nieoczekiwanie cała ta pompa, obliczona na pozyskanie względów jednego człowieka, wydała się jej zabawna. „Postroiliśmy się wszyscy jak na bal - rzekła do siebie w duchu - a przecież jest to zupełnie niepotrzebne. Ten biedny człowiek tkwi już w sidłach bez możliwości ucieczki.” Intuicja podpowiadała jej, że markiz, choć pozornie zadowolony, w gruncie rzeczy nie może znieść myśli o małżeństwie i cały ten ceremoniał oświadczyń nudzi go i mierzi. Czynił wprawdzie pewne wysiłki, żeby nie dać nic po sobie poznać, lecz instynkt nie mylił dziewczyny: cała rzecz była dlań niewiarygodnie nudna.

- Jestem niezmiernie rad, że cię widzę, Alstonie - rzekł ojciec. - Witaj w naszym domu.

- Dziękuję - odparł gość. - To zaproszenie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Ucałował rękę hrabiny i spojrzał ciekawie na Mirabel, a Elminę tknęła myśl, że o nią właśnie mu chodziło. Istotnie dziewczyna przypominała nieco Sarę Carstairs i Karol nie pomylił się w jej opisie.

- Pozwolisz, że ci przedstawię moją najstarszą córkę, Mirabel - rzekł hrabia. - Jest zaręczona, na razie nieoficjalnie, z sir Robertem Warringtonem, naszym sąsiadem, którego, jak sądzę, znasz.

Lekko zdziwiony markiz odparł po chwili milczenia:

- Oczywiście, znam Roberta. Przy najbliższym spotkaniu złożę mu gratulacje.

Mirabel dygnęła wdzięcznie i rzekła:

- Dziękuję. Robert często opowiadał mi o panu, milordzie. Nieraz uczestniczył w polowaniach i wyścigach w Falconie.

- A to jest moja druga córka, Deirdre - przerwał im hrabia. - Ona również jest zaręczona sekretnie z Christopherem Bardsleyem. Sądzę, że wiesz o śmiertelnej chorobie jego ojca, lorda Bardsleya.

Elmina zauważyła, że gość i tym razem poczuł się zaskoczony. Niemniej złożył Deirdre życzenia szczęścia, po czym nastąpiła chwila niemiłego milczenia, zanim znów odezwał się hrabia:

- Wydaje mi się, że moją trzecią córkę, Elminę, poznałeś już w holu.

Markiz odwrócił się, by spojrzeć na najmłodszą, która stała nieco z tyłu. Elmina dostrzegła w jego oczach wyraz zdziwienia, którego tym razem nie zdołał ukryć. Powiedział z zakłopotaniem:

- Tak, już się poznaliśmy.

Zapadła krępująca cisza, którą przerwał Barton. Wszedł do salonu, wyprzedzając lokaja z tacą pełną kieliszków.

- Czuję, że to pomyślna wróżba - odezwał się hrabia - i powinniśmy wznieść toast szampanem. Mam nadzieję, Alstonie, że przypadnie ci do gustu. To gatunek polecony mi przez króla Jerzego w roku koronacji.

- On bez wątpienia był wielkim znawcą win - podjął markiz konwersacyjnym tonem.

I tak rozpoczęła się między gospodarzem a gościem wymiana wspomnień dotyczących przyjęć na królewskim dworze.

- Niestety, byłem zbyt młody, by znać króla Jerzego - rzekł markiz. - Ale zawsze uważałem, że szampan podawany na zamku windsorskim przez króla Wilhelma nie nadawał się do picia.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przytaknął hrabia. - Biedny człowiek tak mało wiedział o winie, a jeszcze mniej o koniach.

- Zaiste masz rację - potwierdził markiz. - Oszupiałbyś na widok szkap, które trzymał w Mews tylko dlatego, że jako konie królewskie miały tam trwać bez końca. Nikt nigdy nie wyprowadzał ich na trawę. Aż oślepyły i zestarzały się tak, że przestały się nadawać do jakiegokolwiek użytku.

- To jest z pewnością hańba, którą jedynie ty mógłbyś naprawić - stwierdził pan domu.

Podczas obiadu rozmawiali wyłącznie o koniach.

Elmina, choć przysłuchiwała im się z przejęciem, nie podjęła próby włączenia się do dyskusji. Nie uczyniła tego również żadna z jej siostr. Aczkolwiek hrabina od czasu do czasu wtrącała słówko, w gruncie rzeczy było to sam na sam dwu dżentelmenów. W końcu damy z ulgą opuściły panów.

Kiedy przeszły do salonu, Mirabel rzekła:

- Jeżeli nie była to najnudniejsza kolacja, w jakiej zdarzyło mi się uczestniczyć, niech mnie kule biją.

- I mnie! - dorzuciła Deirdre.

Obie spojrzały na Elminę i powiedziały:

- Tak nam przykro z twojego powodu.

- Ależ ja uważam, że wszystko, o czym mówili, było bardzo interesujące - odparła - choć kilkakrotnie miałam ochotę pospierać się z jego lordowską mością.

Mirabel sapnęła:

- Nie odważyłabyś się tego zrobić. Mógłby poniechać zamiaru poślubienia cię.

- Wątpię - zaśmiała się Elmina. - Powodem, dla którego powziął decyzję ożenku, jest chęć otrzymania stanowiska królewskiego koniuszego. Raduje go wszystko, co się z tym wiąże.

- Skąd o tym wiesz, Elmino? - wykrzyknęła hrabina. - Jestem pewna, że nie od ojca.

- Wszyscy o tym mówią - odparła dziewczyna - bo wszyscy o tym wiedzą. Kowale, krawcy, stajenni, a nawet pani Black z wiejskiego sklepiku.

Powiedziawszy to zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Hrabina przecież, jak dotąd, nie miała pojęcia, że jej najmłodsza córka bywa w majątku markiza. Mirabel, która zauważyła zmieszanie siostry, zmarszczyła brwi z dezaprobatą. Na szczęście mama, skupiona na odczuciach Elminy, nie zwróciła uwagi na sens jej słów.

- Nie należy, moja droga, wierzyć we wszystko, co się słyszy - pouczyła ją. - Jestem pewna, że markiz, człowiek według mnie czarujący, ma znacznie ważniejsze powody do ożenku aniżeli uzyskanie posady koniuszego.

- Ależ to prawda, mamó. I mogę doskonale zrozumieć, jak wiele to dla niego znaczy. Poza tym zresztą nikt bardziej niż on nie nadaje się do przeprowadzenia zmian w Królewskich Stajniach.

Hrabina westchnęła leciutko, nie zamierzając spierać się z córką. Potem dodała:

- Bardzo pragnę zobaczyć znowu Falcon. Dawno już nie byłam w majątku markiza. Mam nadzieję, drogie dziecko, że jakkolwiek tam jest, będziesz na tyle taktowna, by zachować swoje krytyczne uwagi dla siebie.

- Ależ naturalnie, mamó - przyrzekła Elmina, wiedząc, że matka czeka na to zapewnienie.

Hrabina zaś, pełna obaw, czy jej najmłodsza córka potrafi się należycie zachować, ciągnęła dalej:

- Suknia, którą masz na sobie, jest niewątpliwie bardzo stosowna, choć na pierwszy rzut oka odniosłam inne wrażenie. Mam nadzieję, że toaleta dzienna, którą dla ciebie zamówiłam, będzie tu już jutro. Włóżysz ją, gdy jego lordowska mość zaprosi cię przed południem. Byłoby jednak błędem kupowanie zbyt wielu strojów przed wyjazdem do Londynu i obejrzeniem tego, co jest tam do nabycia.

- Zgadzam się z tobą, mamó - rzekła Elmina. - I dziękuję ci za tę suknię. Bardzo mi się podoba.

- Jest zaiste niezwykła - przyznała hrabina. - Mimo to uważam, że powinnaś była włożyć białą. Mirabel o wiele bardziej przypomina przyszłą pannę młodą aniżeli ty.

- Bo jestem przyszłą panną młodą - wtrąciła starsza córka.

Ogarnęła ramieniem Deirdre i pociągnęła ją w drugi kąt pokoju, gdzie zaczęły szeptać coś sobie do ucha.

Elmina domyśliła się, że obmawiają markiza, a ponieważ miała wyostrzony słuch, dosłyszała, jak Mirabel mówi:

- Po zobaczeniu go z bliska wiem jedno: kocham teraz Roberta milion razy mocniej niż przedtem.

Potem usłyszała śmiech i w obawie, by to, co siostry mówią, nie zdenerwowało matki, usiadła przy niej na sofie.

- Markiz jest rzeczywiście bardzo przystojny - powiedziała. - Ale myślę, że najlepiej wygląda na koniu.

- Ten człowiek ma wszystko, czego można pragnąć! - rzekła hrabina, jakby podążając za tokiem własnych myśli. - Szkoda że Mirabel...

Umilkła, zdawszy sobie sprawę, że jej dalsze słowa mogłyby urazić Elminę, ale dziewczyna zawołała:

- Nie czas na żale, mamó! Możesz zrobić już tylko jedno: modlić się, bym potrafiła stać się dla markiza taką żoną, jakiej on potrzebuje. Wiesz przecie równie dobrze jak ja, że dla papy taki zięć to zbawienie.

Hrabina wydawała się zaskoczona. Nie zdążyła jednak odpowiedzieć córce, gdyż akurat panowie weszli do salonu i zmierzali wprost ku damom siedzącym na sofie. Hrabia odezwał się do Elminy tonem, który uznał za najstosowniejszy:

- Markiz, moja droga, rad byłoby obejrzeć portrety koni naszego dziadka malowane przez Stubbsa. Obiecałem, że mu je pokażesz.

- Oczywiście, papo - zgodziła się dziewczyna.

Była pewna, że rodzice zaplanowali wszystko przed kolacją, podniosła się więc z sofy i nie patrząc na markiza wyszła przed nim z salonu. Skierowali się korytarzem do gabinetu ojca, gdzie zgromadzono najlepsze w całym domu obrazy o tematyce sportowej. Jeden spośród nich, pędzla Stubbsa, był niewątpliwie wybitny, inny, pędzla Sartoriusa, należał do ulubionych płócien Elminy. Tak czy inaczej, dziewczyna wiedziała, że całą tę sytuację zaaranżowano, by dać markizowi okazję do oświadczeń, wyrażonych krótko i celnie. Toteż nie zdziwiła się wcale uj-

rzawszy płonące kandelabry na kominku i biurku ojca. Lekkim niepokojem napawała ją myśl, że markiz zorientowawszy się, iż podsuwają mu nie tę pannę, którą wybrał, w ostatniej chwili zrezygnuje z oświadczeń. Lecz on akceptował sytuację w przekonaniu, że to i tak jest bez znaczenia, a zresztą nic już na to nie mógł poradzić.

Kiedy byli już w gabinecie, który okazał się ogromny, gość przemówił, jakby wcześniej wszystko sobie obmyślił:

- Spodziewam się, panno Elmino, iż jest pani świadoma, że prosiłem hrabiego o pani rękę. Mam nadzieję, że nasze spotkanie odbywa się z pani zgodą. I że zdołam dać pani szczęście.

Mówił tonem tak oficjalnym, że dziewczyna zamierzała odpowiedzieć mu w podobny sposób. A jednak, podnosząc nań oczy, rzekła:

- Bardzo pragnę pana poślubić!

- Cieszę się - odparł. - Mam przy sobie coś, co, jak sądzę, pani polubi i będzie nosić na znak, że jesteśmy oficjalnie zaręczeni. Pojutrze „Gazeta Londyńska” poda ów fakt do publicznej wiadomości.

Z tymi słowy wyjął i otworzył małe pudełeczko. W środku tkwił wspaniały brylant owalnego kształtu, otoczony małymi brylancikami. Elmina spojrzała na klejnot bez słowa.

- To jest tradycyjny pierścienek zaręczynowy - powiedział markiz - noszony przez wszystkie markizy Falcon. Oczywiście podaruję pani później inny, który nie będzie częścią rodzinnej kolekcji, ale pani prywatną własnością.

- Bardzo... dziękuję - wyszeptała z trudem Elmina. Wyciągnęła lewą rękę i narzeczony włożył jej pierścienek na trzeci palec. Był nieco za duży, dodał więc:

- Widzę, że jest zbyt luźny. Później będzie go można dopasować, ale sądzę, że dziś wieczorem chce go pani mieć na palcu.

- To bardzo uprzejmie, że pan się o to troszczy.

Patrzyła na pierścienek, a markiz uśmiechał się leciutko, myśląc sobie zapewne, że jego narzeczona nie jest wcale zachwycona.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, o czym pani myśli - powiedział.

Ku jego zdumieniu roześmiała się.

- Pewnie uzna pan to za niewdzięczność, ale prawdę mówiąc myślałam o tym, że za ten pierścienek można by kupić tuzin pańskich cudownych koni.

Poczuł się jeszcze bardziej zdumiony.

- Przyznaję, że nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Cieszę się, że kocha pani konie równie mocno jak ojciec.

- To prawda - odparła. - Uwielbiam konie nade wszystko. Widywałam pana wyruszającego na polowania.

Popelniwszy wcześniej jeden błąd, starała się teraz dobierać słowa bardzo ostrożnie. Markiz odrzekł:

- Wprawia mnie pani w zakłopotanie, gdyż nie mogę powiedzieć, że ja również panią już widziałem.

- Ależ dlaczego? - zdziwiła się. - Kiedy się poluje, trzeba raczej skupić uwagę na lisie aniżeli na obserwatorach.

- To prawda - zaśmiał się z kolei on. - Ale dla większości kobiet polowanie jest okazją do miłych spotkań towarzyskich.

- Jestem innego zdania - odparła. - Uważam, że wszelkie pogawędki są stratą czasu, i wiem, że pan myśli podobnie.

Nie wspomniała przy tym ani słowem o wzgardliwym sposobie, w jaki odnosił się do uczestników polowań, chcąc im dokuczyć z całą premedytacją, jako ten najdoskonalszy, któremu nikt inny nie dorównuje.

- Przyrzekam pani - odezwał się markiz - że kiedy się pobierzemy, będzie pani prowadzić najlepszych myśliwych, jakich zdołam tu ściągnąć.

Musiały być bardzo tępy, żeby nie zauważyć światła, które zapaliło się w oczach Elminy, i nie usłyszeć nuty podniecenia w jej głosie, kiedy się odezwała:

- Wolałabym raczej to aniżeli brylanty warte miliony funtów.

- Myślę, że będzie pani mogła mieć jedno i drugie - zaśmiał się znów markiz.

- Dziękuję, doprawdy, bardzo dziękuję! - wykrzyknęła z entuzjazmem, którego zabrakło, gdy wkładał jej na palec pierścioneł.

I jakby domyśliwszy się, że narzeczony rozważa, czy wypada mu, czy też nie pocałować swą wybrankę, szybko dodała:

- Powinien pan obejrzeć obrazy ojca, zanim wrócimy do salonu. On jest z nich bardzo dumny i czułby się rozczarowany, gdyby pan nie poświęcił im żadnej uwagi.

- Sądzę, iż nie miałby mi za złe, że w tych okolicznościach całą uwagę poświęcę pani - odparł.

Elmina rzuciła mu figlarne - jak się markizowi zdawało - spojrzenie, nim odpowiedziała:

- To było powiedziane uroczo i, mam nadzieję, szczerze.

- Czyż mógłbym zaprzeczyć? - rzucił z nutą zadowolenia w głosie. - A teraz proszę wybaczyć, że zapytam bez ogródek: ile pani ma lat?

Elmina roześmiała się. Nie miała pojęcia, jak dźwięczny był to śmiech.

- Jestem pewna, że zastanawiał się pan nad tym od pierwszej chwili, gdyśmy się spotkali w holu. A więc od miesiąca osiemnaście. Wiem, że wyglądam na mniej, ale jeśli to pana trapi, mogę zapewnić, że zaradzi temu upływ lat.

- To nie ulega wątpliwości - roześmiał się z kolei markiz. - Muszę jednak przyznać, że nie spodziewałem się spotkać tutaj panny wyglądającej tak młodo i, proszę mi jeszcze raz wybaczyć, tak niezwykle.

- W liście do ojca wyraził pan życzenie poślubienia jego córki. Ponieważ ja jedna jestem „do wzięcia”, nie ma pan wyboru.

- Wcale się nie skarżę - pospieszył z odpowiedzią, ale czuł, że Elmina mu nie wierzy.

Wtedy usłyszał coś, co go zaskoczyło bardziej niż wszystko inne tego wieczoru:

- Myślę, że powinniśmy wrócić do salonu. Mama będzie się niepokoiła naszą zbyt długą nieobecnością. Papę zaś zapewne już dręczy obawa, że pan na mój widok zmienił zamiar i poszedł gdzie indziej szukać narzeczonej.

Markiz patrzył na nią oniemiały ze zdumienia. A kiedy otworzyła drzwi, stwierdził, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko pójść za nią. Dopiero w korytarzu zdobył się na wyznaczenie:

- Nie myliłem się, panno Elmino, myśląc, że jest pani niezwykła. Będę z utęsknieniem oczekiwał następnego spotkania.

- Za trzy dni przyjedziemy do pańskiej posiadłości na obiad. A ja oczywiście również będę tęsknić za widokiem Falconu i wszystkich jego skarbów, nawet jeśli nie uda mi się tego wieczoru zobaczyć pańskiej stajni.

Chciał jej odpowiedzieć, lecz Elmina, idąc przed nim, otworzyła drzwi do salonu. Miał dziwne uczucie, iż za frazesami, które wypowiadała, kryje się kpina. Nie rozumiał dlaczego, lecz był pewien, że się nie myli.

Gdy godzinę później wracał sam do domu, wiedział jedno: że jego narzeczonej wygląda inaczej, niż oczekiwał, i mówi w sposób, jakiego się po niej nie spodziewał.

Znajdował tylko jedno słowo na jej określenie: „Niezwykła!”

Rozdział 4

Elmina schodziła powoli ze schodów. Ojciec, poruszony nie mniej niż reszta rodziny, czekał na nią w holu. Kiedy się pojawiła, rzekł, wyjmując z kieszonki fraka swój złoty zegarek:

- No chodźże, chodź. Jesteś już spóźniona.

Dziewczyna jednak nie mogła poruszać się szybciej z powodu długiego welonu, którego końce niosła pokojówka mamy. Szła drobnymi kroczkami, trzymając się balustrady. Ojciec nie patrzył na nią, więc odetchnęła z ulgą, gdyż obawiała się jego reakcji na suknię ślubną.

Od wizyty w Falconie, która miała całkiem inny przebieg niż kolacja w Warne Park, ponieważ zaproszono krewnych, nie rozmawiała z markizem na osobności ani też on nie uczynił żadnego wysiłku, by ją wyróżnić spośród gości. Wiedziała, że rodzina markiza, aprobując jego małżeństwo, jest niewątpliwie zaskoczona wyborem, jakiego dokonał. Wszyscy zwrócili uwagę na dziewczęcy wygląd narzeczonej i nikt nie wierzył, że ma osiemnaście lat. Poza tym spodziewali się, iż to Mirabel stanie na ślubnym kobiercu i nie rozumieli, dlaczego Falcon postanowił poślubić najmłodszą z panien Warnborough. Dopuszczono ich więc do sekretu zaręczyn Mirabel.

Tymczasem Elmina postanowiła sobie, że w dniu ślubu będzie wyglądać tak pięknie, jak to tylko możliwe. Była w pełni świadoma, że liczni przyjaciele narzeczonego przybędą z Londynu, by obejrzeć pannę młodą i poddać ją krytycznej ocenie. Na szczęście, hrabina była tak przejęta perspektywą trzech niemal jednoczesnych wesel, że poświęcała najmłodszej córce mniej uwagi, niż to było w jej zwyczaju.

Gdy wybrały się do Londynu, wzięła Elminę ze sobą do wszystkich sklepów, w których się zawsze zaopatrywała, wybrała kilka sukien, które uznała za odpowiednie, i oznajmiła, iż następnego dnia chciałyby obejrzeć wykroje i modele. Wiedząc, że mama ma w Londynie wiele spraw do załatwienia, a prócz tego musi odwiedzić licznych przyjaciół, Elmina zaproponowała, że pójdzie do przymiarki wraz z Mirabel i pokojówką. Hrabina przystała na to z ulgą. Mirabel była uszczęśliwiona.

- Wiesz, jaka jest mama - powiedziała do siostry. - Zawsze wie wszystko lepiej niż my. Szczerze mówiąc, chcę poprosić Roberta, który miewa świetne pomysły, aby mi poradził, jak mam się ubrać.

Elmina nic na to nie rzekła, ale pomyślała o tym samym, ponieważ nie miała najmniejszego zamiaru wyglądać jak przeciętna panna młoda w banalnej białej satynie. Taką właśnie

suknię wybrała dla niej matka. Dlatego następnego dnia, zjawiwszy się w sklepie, odwołała wczorajsze zamówienie i wybrała w zamian delikatny tiul przetykany srebrem. Prześliczny i kosztowny. Dziewczyna wiedziała, że suknia z tej materii podkreśli blask jej włosów i przezroczystość skóry. Ponieważ do tej pory nie miała ubiorów szytych specjalnie dla niej, nikt też nie dbał o jej wygląd, zdarzało się, że nie śpiąc w nocy wymyślała sobie czarowne kreacje. Miały zmienić najmłodszą, małą i niepozorną siostrę w księżniczkę, która oczywiście zawładnie sercem czarującego księcia. W marzeniach widziała siebie przeważnie w oszłamiającym kostiumie do jazdy konnej, na grzbiecie czarnego ogiera, najszybszego i najskoczniejszego ze wszystkich koni w Anglii. Bywało też, że pojawiała się na balu później niż wszyscy goście, w sukni usianej brylantami o połyskach gwiazdnych lub księżycowych.

Tę drugą właśnie wybrała na toaletę panny młodej. Tiul, oczywiście z daleka, sprawiał wrażenie, że spowita nim dziewczyna wylania się z leśnego strumienia. Krawcowa mamy, obdarzona artystyczną duszą, w lot pojęła, o co chodzi młodziutkiej klientce, przyszłej markizie Falcon. Zgodziła się więc zachować jej wybór w tajemnicy przed hrabiną i zapewniła, iż suknia jej będzie najoryginalniejszą toaletą od czasów, gdy królowa Wiktoria wstąpiła na tron.

- Wygląda pani uroczo, milady! - rzekła przy ostatniej przymiarce, bez wątpienia szczerze.

- Dziękuję - ucieszyła się Elmina. - Mam nadzieję, że się pani nie myli.

W istocie miała nadzieję, że zachwyci markiza. A jednocześnie wcale nie była pewna, czy on w ogóle zauważy jej suknię, skoro lady Carstairs będzie pośród gości.

On tymczasem zadał sobie trud wysłania do Warne Park kolekcji brylantowych tiar. Aby nie urazić hrabiny, wyjaśnił, że tradycyjnie wszystkie panny młode w rodzinie Falconów noszą te klejnoty w dniu ślubu. Lady Warnborough chętnie w to uwierzyła. Elmina natomiast dostrzegła w tym przejaw jego poczucia wyższości oraz zadufania, które nie pozwala mu zdać się w niczym na kogokolwiek.

Kiedy ustalili dzień ślubu, powiedział na pozór niedbale, w gruncie rzeczy kategorycznie:

- Myślę, hrabio, że wygodniej byłoby urządzić przyjęcie weselne w Falconie anizeli w Warne Park.

Ponieważ Warnborough zdawał się zaskoczony, przyszły zięć wyjaśnił:

- Chodzi o to, że będę musiał dostarczyć wszystko, co wedle oczekiwań dzierżawców i pracowników Falconu powinno uświetnić moje wesele. Nawet fajerwerki. - Zamilkł i wolno

dokończył: - Obawiam się też, że dla Elminy i dla mnie będzie nieco męczące przenoszenie się z Warne Park do Falconu po to tylko, by wygłosić mowę weselną i przedstawić młodą panią.

Argumenty były tak rozsądne, że hrabia przystał na wszystko. Tym chętniej, że oszczędzało mu to mnóstwa wydatków. A czekały go jeszcze dwa wesela. Obaj panowie zgodzili się też co do tego, by ślub odbył się w małym kościółku, w którym Elmina i jej przodkowie byli podawani do chrztu. Stamtąd pojedą prosto do rezydencji markiza. Przyjęcie weselne odbędzie się w ogromnej sali balowej.

Elmina wiedziała, że zgodnie z zarządzeniem pana Falconu miejsce powitania gości będzie ukwiecone orchideami z jego cieplarni. Całą zaś salę balową zdobić będą kwiaty z jego ogrodów, takie, o jakich hrabia nie mógłby nawet marzyć. I rzeczywiście, mimo że Mirabel i Deirdre spędziły cały dzień poprzedzający ślub na dekorowaniu kościółka w Warne Park, efekt był nader mizerny. Zwłaszcza w porównaniu z oczekiwaniami markiza.

W takiej sytuacji panna młoda z tym większą determinacją postanowiła sobie, że nie będzie wyglądać jak mała wiejska stokrotka. Wiedziała dobrze, że lady Carstairs zjawi się niczym egzotyczna orchidea, z którą nie sposób się równać. Dlatego też zrobiła coś, co dotąd czyniła nader rzadko: skupiła całą swoją wyobraźnię na sobie. Nie mogła zwrócić się z tym do Czanga, ale on i tak już jej pomógł, ucząc ją w sobie samej szukać odpowiedzi na nurtujące pytania. Wybrawszy ustronne miejsce, zaczęła oddychać głęboko, tak jak robili to mnisi przed walką karate. Prawie natychmiast ujrzała w swym umyśle obraz, ukazujący jej to, co chciała zobaczyć. Teraz już była pewna, że niezależnie od tego, co kto powie, ona i tak postawi na swoim.

Matka z dumą pokazała jej welon z brukselskiej koronki, zakładany od dwustu lat przez wszystkie panny młode w ich rodzinie. Elmina uznała, iż będzie on odpowiedni dla Mirabel, lecz nie dla niej, jako zbyt ciężki. Poza tym jakże mogłaby łączyć wzorzysty welon z suknią w srebrne desenie. Wobec tego krawcowa zaproponowała tiul, ale nie biały, tylko w odcieniu porannej mgły, połyskujący drobinkami brylantów niby kroplami rosy. Wbrew tradycji Elmina odrzuciła również tren i zażądała, by po obu bokach ciągnął się za nią iskrzący się tiul.

Następnym kłopotem była tiara. Markiz przysłał trzy; jedna była okazalsza od drugiej, a każda wprost przytłaczała swoim ciężarem wiotką dziewczynę.

- Są wspaniałe! Absolutnie cudowne! - wykrzyknęła Mirabel. - Włożyła jedną z nich na głowę i poprosiła: - Przyrzeknij, że pożyczysz mi ją do ślubu. To najbardziej zachwycająca korona, jaką kiedykolwiek będę miała okazję włożyć.

- Oczywiście, że ci ją pożyczę - obiecała Elmina.

Tiara była dla niej zupełnie nieodpowiednia. Patrzyła też strapiona na dwie pozostałe. Gdy zastanawiała się, jak wybrnąć z kłopotu, odezwał się ojciec:

- Byłoby śmieszne, gdybym wydał masę pieniędzy, których mi brakuje, na ślubny prezent dla ciebie, skoro twój przyszły mąż jest tak bogaty.

- Nie wolno ci być lekkomyślnym, papo - ostrzegła go Elmina.

- A jednak - zamyślił się hrabia - ludzie dziwiliby się, gdybym nie podarował ci drogiego klejnotu.

- To nie jest potrzebne... - zaczęła.

- Wiesz, co myślę - przerwał jej - że możesz włożyć wieniec z polnych kwiatów. Ten, który nosiła twoja babka, gdy była bardzo młodą dziewczyną.

Elmina klasnęła w dłonie. Wieniec babki zawsze ją zachwycił. Nigdy jeszcze nie widziała go na niczyjej głowie. Był schowany w sejfie. Hrabina wolała swoją tiarę, ojciec zaś twierdził, iż wieniec jest tak stary, że mógłby się rozsypać, a on woli nie ryzykować straty drogich kamieni, które w nim tkwią. Teraz jednak, kiedy go oczyścił, Elmina zrozumiała, iż jest to właśnie to, czego jej trzeba jako pannie młodej.

Wieniec był spleciony z polnych kwiatów misternie wyrzeźbionych przez wybitnego osiemnastowiecznego jubilera. Jeden z portretów znajdujących się w domu przedstawiał babkę w wieku lat dwunastu ustrojoną w to arcydzieło jubilerskiej sztuki.

- Nie mógłbyś mi ofiarować nic lepszego, ojczy - uradowała się dziewczyna. - Ogromnie ci dziękuję.

Hrabiego nieco zdziwił jej entuzjazm. Zarządził wysłanie wieńca, wraz z innymi prezentami, do Falconu, gdzie miały być pokazywane podczas weselnego przyjęcia. Elmina jednak zdołała przedtem wydobyć go z welwetowego pudełka. Zamierzała włożyć to cudo na głowę, ale tak, aby nikt się przed czasem nie dowiedział, iż wcale nie pójdzie do ołtarza w tiarze Falconów.

Następną bitwę musiała stoczyć o ślubny bukiet.

Matka uważała, że powinna mieć wiązanek z białych goździków oraz lilii. Ale Elmina umyśliła sobie co innego. Gdy markiz był w Londynie, wybrała się kiedyś konno, bez niczyjej wiedzy, do Falconu. Konia zostawiła w stajni, pod opieką Hogsona, który zawsze witał ją radośnie.

- Myśleliśmy, że panienka już o nas zapomniała, milady - rzekł.

- Jak mogliście tak myśleć, skoro widujecie mnie codziennie - zaśmiała się. - A może macie mnie dość?

- Co też panienka mówi! - zaprzeczył gorąco. - Zawsześmy panience radzi. A dziś mamy kilka nowych koni do pokazania. Tak pięknych okazów panienka na pewno jeszcze nie widziała.

- Czy to możliwe!?! Chodźmy więc do stajni.

Szła za nim od boksu do boksu, by poznać nowych lokatorów. Potem oświadczyła, że musi zobaczyć się z ogrodnikiem. Jego również знаła od dawna. Był przekonany, że przysłała zobaczyć orchidee, którymi ma być przybrana sala balowa.

- Rozkwitną we właściwym momencie, milady - oznajmił z dumą.

- Jakżeby śmiały tego nie zrobić! - zaśmiała się Elmina i zaraz dodała: - Potrzebuję twojej rady. To bardzo ważna sprawa.

Lester - bo tak miał na imię ogrodnik - słuchał uważnie, gdy tłumaczyła mu, iż jej suknia ślubna różni się od tradycyjnych strojów na tę okazję i zwyczajowy bukiet z goździków oraz lilii popsułby cały efekt. Lester był jednym z najznakomitszych ogrodników w kraju. Niegdyś markiz namówił go do porzucenia Kew Gardens i przeniesienia się do Falconu. Chciał mieć cieplarnie wypełnione egzotycznymi kwiatami.

Ogrodnik w lot pojął, o co chodzi Elminie. Wybrał dla niej orchidee przedziwnej urody. Białe, prawie przezroczyste płatki, z nikłymi plamkami zieleni, przypominały błyski słoneczne w strumieniu. Ujrawszy je, Elmina stwierdziła, że były dokładnie takie, jakie zobaczyła oczami wyobraźni.

- Mam ich akurat tyle, milady, ile potrzeba na mały bukiet - powiedział Lester. - Jego lordowska mość będzie zaskoczony, gdy je zobaczy w pani wiaźance. Zakwitły tu po raz pierwszy.

- Nie mów panu, że je wzięłam - poprosiła, biorąc głęboki oddech. - Mógłby się sprzeciwić.

- To będzie nasz sekret, milady - roześmiał się ogrodnik. - Ale jakoś nie widzi mi się, by pan miał się o to gniewać. A jeśli już, to i tak nie zdąży nam przeszkodzić.

- To jest to, o czym myślałam - zakończyła rozmowę Elmina.

Bukiet został dostarczony do Warne Park na chwilę przed jej wyjazdem do kościoła. Sama zadbała o to, by nikt go wcześniej nie zobaczył. Leżał teraz na krześle w holu obok bia-

tego bukietu przygotowanego przez ogrodników ojca. Wyciągnęła rękę po swoje orchidee i przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Zanieś biały bukiet do powozu - poleciała służącemu. Hrabia, zaniepokojony, spytał podejrzliwie:

- Po co ci dwa bukiety?

- Myślę, papo, że dobrze byłoby jeden położyć na grobie babci.

- A to dlaczego? - zapytał zaskoczony.

- Wiele dzisiaj o niej myślałam. Wszyscy ją uwielbialiśmy. No i, jak wiesz, mam właśnie na głowie wieniec, który niegdyś należał do babci, a teraz dzięki tobie jest mój.

Hrabia wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony. A jednocześnie naglił, żeby wreszcie jechać do kościoła.

- No dobrze, chodź już! - rzekł. - Nie możemy tu stać i rozmawiać. Alston niewątpliwie poczuje się dotknięty, jeżeli każemy mu czekać.

Elmina zamrugła powiekami.

- Myślę - powiedziała - że byłoby to dla niego nowe doświadczenie.

Ojciec jednakże nie słuchał już. Gdy ruszyła w stronę kościelnego przedsionka, wręczył jej biały bukiet, a ona położyła go na grobie babki, odmówiwszy krótką modlitwę:

- Tak bardzo ci szczęście sprzyjało, babciu, że do dziś żyjesz w naszej pamięci. Myślę też, że dziadek kochał cię aż do śmierci. Spraw, bym stała się taka jak ty.

Potem, kiedy tłocząca się wiejska cizba złożyła jej życzenia szczęścia i zaczęła szeptem wymieniać między sobą uwagi na temat jej wyglądu, Elmina, trzymając ojca pod ramię, weszła do zatłoczonego kościółka, gdzie czekał na nią markiz.

Jadąc z kościoła do Falconu wygodnym powozem, zaprzężonym w cztery doskonale dobrane i pięknie udekorowane kwiatami konie, Elmina myślała, że po raz pierwszy jest sam na sam ze swoim mężem. Chwila jednak nie sprzyjała intymnej rozmowie.

Był ciepły, słoneczny dzień, markiz więc kazał zsunąć budę powozu, również przyozdobioną kwiatami. Na wszystkie drogi do Falconu, którymi jechali, najpierw w posiadłościach hrabiego, potem zaś w dobrach markiza, wylegli ludzie, pragnący zobaczyć nowożeńców. Małe dzieci rzucały bukietki kwiatów do otwartego powozu lub też sypały płatki na drogę. Elmina i markiz byli zajęci pozdrawianiem znajomych, pan młody polecił nawet woźnicy, by jechał wolniej, aby wieśniacy mogli obejrzeć młodą parę.

Gdy tylko minęli imponującą bramę Falconu, markiz odezwał się znudzonym głosem:

- A teraz czeka nas nie lada wyczyn! Większość moich londyńskich przyjaciół darowała sobie obecność w kościele. Mój sekretarz obliczył, że będziemy musieli uściskać prawie tysiąc dłoni.

- Byłoby dużo łatwiej, gdybyśmy, wzorem chińskim, oddali sobie jedynie uprzejme ukłony - wtrąciła Elmina. - Ja z całym przekonaniem opowiadam się za formą powitań bez dotyku.

Powiedziała to bez zastanowienia i natychmiast otrzymała ostrą odpowiedź:

- Przypuszczam, że jest to część okupu, jaki się płaci za zawarcie małżeństwa. Nie powinniśmy narzekać, skoro dzieje się to tylko raz w życiu.

- To pocieszająca myśl - zauważyła Elmina.

I zaraz wydała lekki okrzyk zachwytu na widok wielkich markiz wzniesionych na trawniku. Były udekorowane kwiatami oraz chorągiewkami powiewającymi na wietrze i wyglądały niezwykle uroczo na tle wielkiego domostwa z szarego kamienia, z flagą Falconów na dachu. Dzierżawcy i pracownicy obydwu majątków nie kryli się jednak pod markizami, lecz tworzyli wielki tłum przy wejściu, po obu stronach licznych stopni, gdzie nowożeńcy pojawili się w blasku świateł. Zgotowali im serdeczną owację, mężczyźni wyrzucali w górę kapelusze, kobiety powiewały chusteczkami. Młoda para pomachała im z tarasu.

- Później z nimi porozmawiamy - powiedział markiz i weszli do holu pośród rozbrzmiewających wciąż wiwatów.

Elmina widziała hol tyle razy, że nie okazała zachwytu jego pięknymi proporcjami. Wokół ścian stały w niszach wspaniałe posągi bogów i bogiń, a kręcone schody z hebanu i kryształu wiodły do paradnych pokoi na piętrze. Oni wszakże udali się prosto do sali balowej. Kłucząc trochę zeszli w dół i znaleźli się w szerokim korytarzu z antycznymi meblami i cennymi obrazami.

Ta długa droga przez korytarz wyściełony dywanem była dla Elminy, wlokącej za sobą welon, nie do pokonania. Wobec tego przydzielono jej do pomocy lokaja. Teraz mogła podążać za mężem w odpowiedniej odległości. Nie zaoferował jej ramienia i spoglądał chmurnie, jakby nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z oczekującymi gośćmi.

Podpisując akt zawarcia małżeństwa w zakrystii, Elmina odgarnęła z twarzy welon, mogła więc rzucić szybkie spojrzenie na swoje odbicie w mijanym akurat lustrze. Stwierdziła, że nigdy dotąd nie miała na sobie nic równie pięknego: brylanty w babcinym wieńcu lśniły wśród tiulowej mgły wprost zachwycająco. Zarazem jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że markiz

wolałby pojąć za żonę Mirabel, która zaręczona z Robertem była tylko gościem weselnym i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek, tak pięknie, że - zdaniem Elminy - nie zdołałaby jej zaciąć nawet lady Carstairs.

Panna młoda spodziewała się ujrzeć tę damę - jak i większość przyjaciół markiza - dopiero w Falconie. Jednakże zobaczyła ją już w kościele, w trzeciej ławce po lewej stronie, gdy szła do ołtarza z ojcem pod rękę. Pomyślała wówczas, że nie można wyglądać piękniej.

Lady Carstairs, strojna w błękity dobrane do koloru oczu, w kapeluszu zdobnym piórami tej samej barwy, z obfitością szafirów i brylantów, wyróżniała się pośród kościelnego tłumu tak, jak sobie to niewątpliwie zamierzyła.

Teraz zaś, gdy Elmina i jej mąż zajęli miejsca obok ojca i matki i każdy mógł podejść, by uścisnąć im dłonie, Sara Carstairs uczyniła to pierwsza. Ledwo dotknąwszy koniuszkami palców dłoni hrabiego i hrabiny, ujęła mocno rękę markiza i wyszeptła aksamitnym głosem, przypominającym mruczenie kota:

- Ty wiesz, Alstonie, że modliłam się o twoje szczęście.

Patrzyła mu prosto w oczy i Elminie wydawało się przez chwilę, że go zaraz pocałuje. Ale ona zwróciła się ku pannie młodej i powiedziała nieszczerze:

- Jestem zachwycona, że mogę panią poznać. Jako bardzo dawna przyjaciółka pani męża żywię nadzieję, że i my obie zaprzyjaźnimy się.

Niewątpliwie zabrzmiało to bardzo zachęcająco, lecz Elmina, dzięki spostrzegawczości, którą rozwinął w niej Czang, wiedziała doskonale, iż piękna lady Carstairs jest i zawsze będzie jej wrogiem.

Tymczasem ludzie, niby fale morskie, podchodzili, ściskali jej dłonie, życzyli szczęścia i odchodzili. Trwało to i trwało, aż wreszcie przeszli wszyscy. Teraz pili szampana i zajadali smakołyki, które szef kuchni w Falconie przyrządził przez kilka dni.

- Pora pokroić tort weselny - oznajmił markiz energicznie, jakby uważał, że powinni trzymać się ściśle etykiety.

Podszedł do wyniosłej, czterowarstwowej budowli z ciasta, udekorowanej końskimi podkowami, białymi wrzosami, srebrnymi dzwoneczkami i pomarańczowym kwieciami. Różniła się tym od tradycyjnego ślubnego tortu, że zamiast pary nowożeńców miała na szczycie figury koni w barwach Falconu. Elminie powiedziano o tym zawczasu, toteż spojrzawszy na owo imponujące dzieło sztuki cukierniczej, zawołała:

- Nie można było wymyślić nic lepszego! To oczywiście oznacza, że w bieżącym roku odniesiesz więcej zwycięstw w wyścigach konnych aniżeli w minionym. Jeśli to możliwe.

Markiz uśmiechnął się. Wtedy jakiś mężczyzna wy dobył miecz i obaj przecięli tort. Następnie rozdzielili go między gości. Pan młody zbliżył się do panny młodej, mówiąc:

- Pragnę, Elmino, abyś poznała jednego z moich najlepszych przyjaciół, majora Karola Marriotta.

Elmina zwróciła oczy na przystojnego młodego człowieka, który się do niej uśmiechał, i od razu poczuła doń sympatię.

- Jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać - powiedział, gdy zostali sami. - Myślę, że powinienem pogratulować Alstonowi tak oryginalnej oblubienicy.

- Jeżeli ma pan na myśli moją suknię - odrzekła - jestem pewna, że większość gości znajdzie powód, by powiedzieć o niej coś niepochlebnego.

- A ja jestem pewien, że nic takiego się nie zdarzy - sprzeciwił się major. - Wygląda pani jak syrena, jeżeli można użyć podobnego porównania.

- Miałam nadzieję, że właśnie tak będę wyglądać.

- Nie tylko jednak o suknię mi chodzi - ciągnął rozmówca. - Pani nie jest osobą, którą spodziewałem się tutaj spotkać.

- Spodziewał się pan ujrzeć tutaj moją siostrę - zaśmiała się. - Niestety ona jest zaręczona. Ja byłam jedyną panną do wzięcia.

- Wcale nie żałuję - odrzekł major. - I jestem pewien, że Alston również nie narzeka. Skoro sam jest niezwykły, powinien mieć partnerkę niepodobną do innych.

Gdy mówił, jakby za sprawą magnetycznej siły oboje odwrócili głowy i zobaczyli markiza rozmawiającego z lady Carstairs. Patrzyła nań z wyrazem twarzy, który nawet przypadkowemu obserwatorowi dałby wiele do myślenia. Karol Marriott zwrócił się znowu do Elminy:

- Jest pani niezwykła własną niezwykłością. Żadna kobieta tak naprawdę nie chce być odbiciem innej.

Elmina dobrze zrozumiała sens jego słów.

- Dziękuję. Nurtowała mnie obawa, że może robię coś niewłaściwego. Pan mnie utwierdził w słuszności mojego postępowania.

- Daję słowo, że właśnie o to mi chodziło - pośpieszył z zapewnieniem. - I powinna pani wiedzieć, że wygląda zachwycająco.

Gdy ujrzał wyraz zaskoczenia w jej oczach, a zaraz potem rumieniec wykwitający na twarzy, pomyślał, że jest nie tylko niezwykła. Alston, ze swoim niezawodnym szczęściem, i tutaj odniósł zwycięstwo. Nie mógł już nic więcej powiedzieć, gdyż młodą panią domu otoczyła grupka osób. Po chwili u jej boku zjawił się również mąż. Nadeszła bowiem pora przejścia do rozpiętego w ogrodzie namiotu i powitania reszty gości.

Markiz wygłosił jedną po drugiej dwie mowy, po czym wzniesiono toast za nowożeńców - piwem oraz domowym jabłecznikiem. Dla większości przybyłych nadszedł czas pożegnania.

A potem pan młody zdecydował, że pierwszą część miesiąca miodowego spędzą w Falconie. Warnboroughowie uznali to za dziwactwo, Elmina jednak odgadła intencję męża: nie chciał się nudzić sam na sam z młodą małżonką w którymś ze swych londyńskich domów, gdzie nie było nic do roboty, a w każdym razie o wiele mniej niż tu, na wsi. On zaś tłumaczył się, iż ma tu kilka nowych koni, których jeszcze nie zdążył osiąść, a ponadto spodziewa się wkrótce końskiej aukcji w okolicy, na której zamierza kupić kilka okazów do królewskiej stadniny. Za tydzień lub później, jeżeli tylko zechcą, udadzą się w podróż.

Elmina oczywiście była bardzo zadowolona z takiego obrotu rzeczy. Wiedziała, że konie będą zadbane lepiej niż kiedykolwiek. No i z utęsknieniem wyczekiwała chwili, kiedy będzie mogła pójść do biblioteki i zatopić się w lekturze. Zorientowała się już, że w bogatym księgozbiorniku markiza jest sporo dzieł z dziedziny, która ją - za sprawą Czanga - tak bardzo interesuje. Jakiś tydzień przed ślubem powiedziała swemu nauczycielowi:

- Nie myśl, Czangu, że po zamążpójściu poniecham karate lub ju-jitsu. Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, wezwę cię do Falconu lub gdzieś w pobliże na lekcje. Nie chciałabym wyjść z wprawy.

- Z tym mogą być trudności, milady - odparł.

- Dla chcącego nie ma nic trudnego - sprzeciwiła mu się. - Sam mi to wpajałeś! Czyżbyś zapomniał?

- To prawda, milady - wyszczerzył w uśmiechu zęby Chińczyk. - Jeśli ktoś mocno czegoś pragnie, dostaje to.

- Chcę w to wierzyć - rzekła zniżonym głosem. - Wiem, że kiedy ćwiczę z tobą, mam jaśniejszy umysł i łatwiej się koncentruję.

- O to właśnie chodzi w karate - przyznał Czang.

- A więc wymyślę coś - postanowiła.

Ułożyła sobie, że gdy markiz będzie zajęty swoimi licznymi sprawami, nie wymagającymi jej udziału, ona zajmie się wraz z Czangiem ćwiczeniami karate.

W końcu ostatni gość opuścił Falcon. Aczkolwiek spora liczba ludzi była jeszcze w namiocie, we wnętrzu wielkiego domu panowała cisza. Markiz spojrział na zegarek.

- Za godzinę będzie kolacja - rzekł. - Spodziewam się, że zechcesz się wykąpać. Bo ja mam na to wielką ochotę.

- Czuję się jak po wyczerpującym całodniowym polowaniu - odparła. - A droga do domu wciąż jeszcze daleka.

Markiz zaśmiał się swoim krótkim, ostrym śmiechem, w którym było raczej zdziwienie aniżeli serdeczność. Elmina ujęła koniec welonu, owinęła go wokół ręki i skierowała się do drzwi. Wtedy powiedział:

- Sądzę, że powinienem ci pogratulować sukni, aczkolwiek przykro mi, iż nie włożyłaś na głowę żadnej z przysłanych ci przeze mnie tiar.

- Były dla mnie za ciężkie! - wykrzyknęła. - A poza tym przyciągałyby ku sobie wszystkie oczy.

- Przecież właśnie tego pragnę kobiety - uniósł brwi w zdumieniu.

Elmina zatrzepotała powiekami.

- W tym właśnie rzecz: brylanty skupiałyby na sobie wszystkie spojrzenia! Nie ja! A dzisiaj właśnie ja chciałam być w centrum uwagi.

Tym razem markiz roześmiał się serdecznie.

- To istotnie oryginalny punkt widzenia - skonstatował. - Jesteś, Elmino, naprawdę niezwykłą kobietą.

- Dziękuję - powiedziała. - Jestem ci również winna słowa wdzięczności za bukiet.

- Myślę, że w całym kraju nie ma nikogo, kto mógłby ci dostarczyć równie niezwykłych orchidei.

- Są akurat takie, jakich potrzebowałam. Nie żałujesz chyba, że je sobie wzięłam?

- Jakże mógłbym ci ich żałować? - zdziwił się. - Właśnie Karol powiedział mi, że idealnie pasują do twoich oczu.

- Miły jest twój przyjaciel Karol - wyznała Elmina. - Polubiłam go od razu. Chciałam ci to już przedtem powiedzieć, lecz skromność mi nie pozwoliła.

Zaczęła wchodzić po schodach, nim markiz zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Oczywiście znała drogę do sypialni żon Falconów. Zastanawiała się, czy mąż to zauważył - szła przecież bez eskorty.

Pani Leonard czekała na nią w drzwiach paradnego buduaru.

- Wygląda pani prześlicznie, milady, doprawdy czarująco! - wykrzyknęła. - Jak z obrazu. Chociaż niektórzy dziwili się, że nie jest pani w bieli.

- Odpowiedź na to jest prosta: nie najlepiej wyglądam w bieli - wyjaśniła młoda pani.

- A ja wiem jedno, milady: większość niezamężnych kobiet z grona pani gości zacznie gromadzić srebro do swoich sukien ślubnych. No i farbować na popielato włosy.

Po kąpieli w łazience przylegającej do sypialni Elmina włożyła londyńską suknię w delikatnym różowym kolorze. Była to urocza i wytworna toaleta, zdobna przypiętymi do ramion kameliami, przytrzymującymi narzutkę. Młoda kobieta jednak, patrząc na siebie w lustrze, wciąż widziała uczennicę wystrojoną na jakąś okazję.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała swojemu odbiciu. - A on musi przyjąć mnie taką, jaka jestem.

Zjedli kolację nie w wielkiej sali paradnej, w której podejmował ich podczas rewizyty, lecz w małej jadalni, udekorowanej delikatną zielenią i oświetlonej jedną świecą, przy małym stoliku, w intymnym nastroju. Sprzyjającym - pomyślała oblubienica - parze ludzi pragnących mówić o miłości.

Ale oni rozmawiali o koniach. Markiz zwierzył się Elminie, jak bardzo wyczekuje następnego dnia, kiedy będzie jej mógł pokazać nowe, niedawno kupione zwierzęta. Nie przyznała się, że już je widziała, tylko uważnie słuchała jego słów. Zarazem myślała sobie, że nigdy dotąd żaden posiłek nie sprawił jej tyle radości, nigdy też nie przebywała z mężczyzną tak fascynującym i mającym tyle do powiedzenia na interesujący ich oboje temat.

Była jedenasta wieczór, gdy przenieśli się do małego saloniku, przybranego weselnymi białymi kwiatami.

- Jeśli nie weźmiesz mi tego za złe - powiedziała w pewnej chwili - pójdę już spać. To był długi dzień, a jak mi wiadomo, lubisz jeździć konno przed śniadaniem. Nie chciałabym kazać ci czekać na siebie rankiem zbyt długo.

- Mam zwyczaj wyruszać o siódmej trzydzieści - odparł markiz. - Ale jeżeli będziesz nazbyt zmęczona, powiesz mi o tym.

- Na pewno nie będę zbyt zmęczona, by dosiąść konia należącego do ciebie. A więc dobrej nocy, panie mój. Obiecuję, że będę gotowa na czas.

Weszła pośpiesznie na górę. W sypialni zastała pokojówkę, czekającą, by usłużyć swej młodej pani przy rozbieraniu. Pani Leonard poinformowała ją już, że na razie będzie obsługiwana przez tę właśnie dziewczynę, dopóki sama nie wybierze sobie służącej. Elmina była tak przyzwyczajona do zajmowania się sobą i siostrami, że nie umiała sobie wyobrazić, co jej „osobista pokojówka” miałyby przy niej do roboty przez cały dzień. Niemniej miło było mieć wszystko przygotowane. Włożyła na siebie uroczą przezroczystą koszulę nocną z wyprawy ślubnej i owinęła się lekkim szalem, obszytym koronkami i ozdobionym kokardkami z niebieskich aksamitnych wstążek.

- Nie czekaj - rzekła do pokojówki, która stała obok, niezdecydowana, co ma robić.

Kiedy dziewczyna, złożwszy głęboki ukłon, wyszła z pokoju, Elmina, zgasiła wszystkie świece z wyjątkiem jednej przy łóżku i podeszła do otwartego okna. Kryjąc się w fałdach zasłony, wyjrzała do ogrodu zalanego światłem księżyca. Pragnęła zebrać myśli. Spełnił się jej sen: była naprawdę markizą Falconu. Była panią tego wspaniałego domu i współwłaścicielką koni w stajniach oraz wszystkich innych bogactw swego męża łącznie z olbrzymią biblioteką, czekającą na nią na dole.

- Nie mogę w to uwierzyć! - szeptała. - To nie może być prawdą.

Księżycowym promieniom powierzyła modlitwę o to, by bogactwa owe nie przytłoczyły jej i aby, mimo wszystko, zdołała przekonać markiza, że jest kobietą.

Po długim wpatrywaniu się w ciemność postanowiła w końcu położyć się. Jutro będzie następny pełen wrażeń dzień i nie powinna być zmęczona. Kiedy zaciągnąwszy zasłony wróciła do pokoju, otworzyły się drzwi i markiz wszedł do sypialni żony.

Był ubrany w szatę ze szkarłatnego aksamitu i wyglądał nie mniej imponująco niż w ciągu dnia. Zastanawiała się kiedyś, czy wyglądałby inaczej bez swego olśniewającego wieczorowego stroju lub bez eleganckich bryczesów i butów do konnej jazdy. Teraz, w jedwabnej koszuli z wysoką kryzą wokół szyi, w szkarłacie nocnej szaty podkreślonym czernią włosów, prezentował się, jakby zszedł wprost z obrazu.

Spojrzał najpierw na puste łóżko, a potem na nią, wyłaniającą się zza zasłony z leciutkim okrzykiem zaskoczenia.

- Nie w łóżku? - zapytał. - Myślałem, że jesteś zmęczona!

- Chciałam popatrzeć trochę na księżyc. - Postąpiwszy kilka kroków ku mężowi, zatrzymała się i rzekła: - Dlaczego jesteś tutaj?

- Dlaczego jestem tutaj? - powtórzył. - Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista. Zostałaś dzisiaj moją żoną.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła:

- Nie myślisz chyba... nie możesz myśleć...

Zawahała się, a markiz, zdumiony, zapytał:

- Nie oczekiwałaś mnie?

- Nie... oczywiście, że nie! I nie mogę uwierzyć, że ty... myślałeś... o... - zająknęła się, więc marka pośpieszył z pomocą:

- Rozumiem, to wszystko odbyło się w takim pośpiechu, że nie mieliśmy czasu poznać się nawzajem. Niemniej, Elmino, jesteś moją żoną i dołożę starań, by nasze małżeństwo było bardzo szczęśliwe.

- Myślę, że rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparła. - Ale ja nigdy, nawet przez jedną chwilę nie wyobrażałam sobie, że możesz spodziewać się, iż będę z tobą jak żona, zanim poznamy się trochę lepiej.

Niełatwo jej było wyrazić to, co czuła, i markiz odparł ze słabym uśmiechem:

- Kiedyś musimy zacząć, a czyż może być ku temu lepsza okazja niż noc poślubna?

- To... niemożliwe!

- Co chcesz powiedzieć przez „niemożliwe”?

- Że zepsulibyśmy wszystko już na samym początku.

- Nie rozumiem.

Zastanawiała się przez chwilę, jak wyrazić to, co ją nurtowało, po czym rzekła:

- Mówiąc szczerze, myślę, że byłoby błędem wdawać się w zawile wyjaśnienia. O wiele łatwiejszy i naturalniejszy sposób to wzajemne poznawanie siebie.

Zaczął iść w jej stronę i z wyrazu jego twarzy odczytała, że pragnie ją objąć i całować. Instynktownie wyciągnęła przed siebie ręce obronnym gestem i cofnęła się, wołając:

- Nie, nie! Jeszcze nie teraz! Nie mogę pozwolić, byś mnie dotykał!

- Nie możesz pozwolić?! - powtórzył markiz. - Wątpię, czy zdołasz mnie powstrzymać, Elmino. Czas już, byś się dowiedziała, co dla męża i żony jest najlepsze!

- Nie - prosiła. - Nie... Chcę z tobą rozmawiać.

- Nie ma o czym rozmawiać - odparł. - Zdaje się, że zapomniałaś o ślubie posłuszeństwa!
Oto czego od ciebie oczekuję!

Znowu zaczął iść ku niej. Kiedy wyciągnął ręce, by ją objąć, Elmina zareagowała instynktownie, nie myśląc o tym, co czyni. Oto markiz stał przed nią, przyciągając ją mocno i stanowczo do piersi. W ułamku sekundy, ku swemu kompletnemu i absolutnemu zaskoczeniu, zatoczył się do tyłu od uderzenia czymś twardym i mocnym w sam splot słoneczny; czymś, przeciw czemu nie miał żadnej broni.

Po chwili siedział na podłodze spoglądając ku żonie z ogłupiałym wyrazem twarzy.

TLR

Rozdział 5

Przez moment trwała cisza, potem Elmina wyjąkała:

- Tak mi przykro... Tak bardzo przykro...

- Jak ty to, u diabła, zrobiłaś? - spytał.

Nie podnosił się, tylko wciąż patrzył na nią, jakby nie wierzył w to, co się zdarzyło.

- Wybacz mi... - zaczęła znowu. - Proszę... nie gniewaj się na mnie.

- Myślę, że jestem bardziej zdumiony aniżeli rozgniewany - prychnął i, patrząc na nią, stojącą przed nim w przezroczyściej nocnej koszuli, zaczął się śmiać. - To nie może być prawda! To niemożliwe! - wykrztusił. A ponieważ nadal stała tam, niepewna, zawstydzona, rzekł: - Jeżeli chcesz ze mną porozmawiać, a sądzę, że powinniśmy to zrobić, wejdź do łóżka. - Gdy się zawahała, dodał: - Skoro tak ci na tym zależy, przyrzekam, że cię więcej nie dotknę.

Powiedział to z nutą sarkazmu w głosie, której Elmina jednak nie odebrała, zakłopotana tym, co się stało. Markiz zaś, dźwigając się z podłogi, myślał sobie, że wprawdzie był świadom niezwykłości swojej żony, ale to, co zrobiła przed chwilą, przeszło jego najśmielsze wyobrażenia.

Gdy już stał, jego żona wśliznęła się pomiędzy koronki bielizny pościelowej.

Łoże było wspaniałe: rzeźbione i pozłacane anioły tworzyły jego sklepienie, a pięknie haftowane draperie z aksamitu opadały w dół niczym kaskady. Drobną i niemal bezcielesną Elminą, z jasnymi włosami rozsypanymi na ramionach, wyglądała wśród puchowych poduszek prawie jak dziecko. Markiz jednak wiedział, że nie jest dzieckiem. Przejrzysta materia koszuli nocnej ukazywała zarys jej piersi, a ogromne oczy, patrzące nań z uwagą, były oczami kobiety. Usiadł ostrożnie na brzegu materaca i patrząc badawczo na żonę, powiedział:

- Teraz możemy zacząć od nowa. Wyjaśnij mi najpierw, jakim to niezwykłym sposobem powaliłaś mnie na podłogę.

- To było... karate.

- Karate? - zdumiał się. - Skąd ty, na miłość boską, możesz znać karate?

Elmina wzięła głęboki oddech.

- Ćwiczyłam ten sposób walki, jak również ju-jitsu przez ponad rok.

- Ale jak? I gdzie? Nie wydaje mi się, by w hrabstwie Oksford było wielu specjalistów tej niezwyklej sztuki.

- Wyjaśnieniem zagadki jest Czang - rzekła Elmina z lekkim uśmiechem. - To jeden ze służących ojca, mistrz obu sztuk.

- Miał niewątpliwie bardzo pojętą uczennicę - rzucił markiz sucho, pocierając brzuch.

Elmina zapytała pośpiesznie:

- Czyba cię nie zraniłam?

Potrząsnął głową i odparł:

- Tak więc bardzo zdecydowanie dałaś mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie, bym cię dotykał. Jestem teraz gotów wysłuchać, dlaczegoż to nie mielibyśmy rozpocząć normalnego współżycia jak mąż i żona.

Młoda kobieta z zakłopotaniem odwróciła głowę i zaczęła wodzić oczami po pokoju. Był pewien, że szuka odpowiednich słów, by mu odpowiedzieć.

- Chcę usłyszeć prawdę, Elmino - oświadczył stanowczo. - Jeśli uważasz, że nie miałem prawa zrobić tego, co zamierzałem, musisz mi to racjonalnie uzasadnić.

- Pierwszy powód jest bardzo prosty - wyszeptała. - Ty przecież kochasz lady Carstairs.

- A cóż ty możesz wiedzieć o lady Carstairs?!

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Elmina zwróciła ku niemu twarz z szeroko otwartymi oczami, które w blasku kandelabrow wydawały się bardzo zielone.

- Każdy wie, że jesteś... w niej zakochany.

- Każdy? To znaczy kto?

Nic nie mówiąc, wykonała rękami wymowny gest. Markiz zirytował się.

- A więc cała twoja wiedza o mnie i lady Carstairs opiera się na londyńskich plotkach. A to dopiero!

- Podczas pobytu w Londynie byłam zajęta wyłącznie moją ślubną wyprawą. Z nikim się nie widywałam. Ale na długo przed twoimi oświadczeniami wszyscy w moim i twoim domu, a także we wsi opowiadali o jej lordowskiej mości i o tym, jaka jest piękna.

- Czy mówisz mi szczerą prawdę? - upewnił się.

Elmina uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili znokautowania męża.

- Czyżbyś doprawdy nie wiedział o zainteresowaniu, jakie budzisz w całym hrabstwie? Jesteś wszak najbardziej intrygującą i najznakomitszą osobą w okolicy. Jasne więc, że wszystko, co robisz, każda dama, którą kochasz, zajmuje uwagę zarówno mieszkańców wiejskich chat, jak też wielkopańskich rezydencji.

- Trudno mi w to uwierzyć - wykrzyknął.

- Czy aby nie jesteś nazbyt skromny? Przecież staliśmy się przedmiotem zainteresowania całej gromady pięknych kobiet.

- Nie pojmuję, jak twoi rodzice mogli ci pozwolić na słuchanie tych nieznośnych plotek! - westchnął strapiony.

- Papa i mama również o tobie rozmawiali, jakżeby inaczej! I niech ci się nie wydaje, że pochlebnie! Nigdy ich , przecież nie zaprosiłeś do Falconu.

- Chcesz powiedzieć, że pragnęli być zapraszani? - markiz znowu patrzył na nią w zdumieniu.

- Każdy, kto nie był zapraszany - zaśmiała się dźwięcznie - a dotyczy to wszystkich twoich sąsiadów, czuł się zawiedziony. Wszyscy słyszeli o twoich przyjęciach i pełni nadziei oczekiwali zaproszeń, które jednak nigdy nie nadchodziły.

- Nie miałem o tym pojęcia - wymamrotał.

- Przypuszczam, że nie chciałeś, by twoi londyńscy przyjaciele spotykali się z miejscowymi. I uważam, że miałeś rację. Ale powinieneś był przewidzieć, że ci, których pomijałeś, odpłacą ci wrogością, a nawet nienawiścią i złośliwością.

- To prawda - westchnął markiz. - Sądziłem jednak, że wszystko to należy już do przeszłości. Daję ci słowo, że nie przyszło mi nawet do głowy, iż obcy ludzie, nie będący moimi przyjaciółmi, mogliby oczekiwać ode mnie zaproszeń, jeżeli oczywiście nie liczyć polowań.

- Sąsiedzi pragną pozostawać w zażyłości z dziedzicem Falconu, bywać u niego, mieć okazję do podziwiania jego rezydencji, prawienia mu pochlebstw.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Ale to prawda. Ich zdaniem jednak jesteś despotyczny, arogancki i protekcyjny, a zarazem wspaniały i, oczywiście, niezwykle interesujący. Idealny jako temat rozmów.

- Prosiłem cię, żebyś mi powiedziała prawdę, i wierzę, że to zrobiłaś - rzekł ponuro. - Z kolei chciałbym poznać twoje uczucia do mnie, Elmino. To jest w tej chwili najważniejsze.

Ponieważ zwlekała z odpowiedzią, dodał:

- Widzę teraz, że zbyt mało zabiegałem o poznanie cię przed ślubem, ale nie wydawało mi się to konieczne. Szczerze mówiąc, sądziłem, iż nie zachwyca cię myśl poślubienia mnie. Mimo to wyraziłaś chęć zostania moją żoną.

- Tak, wyraziłam ją - przyznała Elmina. - I byłam szczerą. Ale tak naprawdę to myślałam o tobie jedynie jako o właścicielu Falconu i oczywiście tych pięknych koni.

- Chcesz powiedzieć, że chodziło ci o mój tytuł?

- Ależ nie, oczywiście, że nie! - zawołała. - Podziwiałam cię od dawna... Często obserwowałam cię z ukrycia podczas polowań lub wyścigów. Wydawało mi się, że nie ma na świecie człowieka, który dorównałby ci w jeździe konnej. - Głos jej zmienił się przy dalszych słowach: - Jednakże wiadomości o... pięknych kobietach, z którymi... spędzasz czas, uświadomiły mi, że nie mam u ciebie żadnych szans w takim współzawodnictwie.

Markiz obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, lecz nie rzekł ani słowa. Kontynuowała więc:

- Toteż gdy nieoczekiwanie, a w dodatku tak obcesowo, zaproponowałeś papie małżeństwo z jedną z jego córek, nabrałam nadziei, że może... Wtedy dopiero zainteresowałam się tobą jako mężczyzną... Zapragnęłam, byś znalazł we mnie miłą towarzyszkę życia, a także osobę, z którą można dzielić zainteresowania.

Mówiła z wahaniem, starannie dobierając słowa, a markiz, słuchając uważnie, odnosił wrażenie, że przemilcza wiele ważnych spraw.

- Jakie zainteresowania?

Zapadła krótka cisza, po czym Elmina powiedziała:

- Naprawdę chcesz wiedzieć czy może pytasz tylko przez uprzejmość?

- Naprawdę chcę wiedzieć - oświadczył. - Myślę, Elmino, że jest bardzo ważne, byśmy byli względem siebie całkowicie szczerzy.

- Spróbuję - powiedziała po prostu. - Może zaczniesz mnie rozumieć, kiedy wyznam ci, że zawsze, od chwili urodzenia, rozczarowywałam ludzi, którzy pokładali we mnie nadzieje.

- Jak to?

- Ano tak, że papa rozpaczliwie pragnął mieć syna, a mama, nim pojawiłam się na świecie, była przekonana, że jestem chłopcem. - Ton jej głosu i wyraz oczu zdradzały cierpienie. - Liczyłam prawie czternaście wiosen, gdy nieoczekiwanie urodził się Desmond - ciągnęła. - Przez kilka poprzednich lat papa traktował mnie jak chłopca i nigdy ani na minutę nie pozwalał mi zapomnieć, jak bardzo czuje się dotknięty faktem, że jestem dziewczynką. - Westchnęła lekko i mówiła dalej: - Wtedy zaczęłam zdawać sobie sprawę, że skoro przenigdy nie dorównam urodą Mirabel i Deirdre, powinnam, wzorem mężczyzn, poszukać swojej szansy w inteligencji.

Markiz raz jeszcze spojrział na nią z niedowierzaniem. Potem zapytał:

- I jak się do tego zabrałaś?

- Myślę, że stało się to wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię na koniu podczas wyścigów, w których naturalnie zwyciężyłeś. Potem już obserwowałam cię przy każdej okazji.

- Ile lat wówczas miałaś?

- Dwanaście lub trzynaście. Zaczęłam też słuchać pogłosek o twoich przygodach miłosnych.

Markiz zacisnął usta, a Elmina podjęła swoją wyprawę w przeszłość:

- Wkrótce uświadomiłam sobie, że moja guwernantka, kobieta wielkiej dobroci, lecz niezbyt mądra, nie zdoła mnie już niczego więcej nauczyć. Poszłam więc do pastora. Wiedziałam, że dla zarobku udziela lekcji młodym mężczyznom wybierającym się na studia.

Markiz słuchał z rosnącym zdumieniem.

- Oczywiście bez wtajemniczenia mamy i papy nie mogłam mu płacić za lekcje - ciągnęła Elmina. - A byłam pewna, że nie uzyskam ich aprobaty. Wobec tego uprosiłam pastora, by podczas wykładów pozwolił mi siedzieć cichutko w kącie gabinetu, a także by poprawiał moje prace domowe. Powiedział mi później, że byłam najlepsza. - Jej głos nabrał miękkości, a oczy zaiskrzyły się, gdy dodała innym już tonem: - Kochałam lekcje greki i łaciny. Pastor miał wykształcenie klasyczne, toteż najchętniej uczył tych właśnie przedmiotów.

- Twoi rodzice doprawdy nie mieli pojęcia, co się święci? - spytał markiz.

- Musiałam dopuścić do sekretu moją guwernantkę. Lubiła mnie i, podobnie jak ja, uważała, że już bardzo niewiele ma mi do przekazania. Pozwoliła więc papie i mamie trwać w przekonaniu, że jak zwykle pracuje ze mną, podczas gdy ja pobierałam nauki w domu pastora.

- To najbardziej niezwykła historia, jaką kiedykolwiek słyszałem! - wykrzyknął markiz.

- Ta cudowna przygoda trwała do dnia, kiedy papa oddalił guwernantkę. Skończyły się regularne lekcje u pastora. Ten mądry człowiek jednak zapewnił mnie, że gdybym mogła studiować w Oksfordzie lub Cambridge, z łatwością uzyskałabym dyplom.

- Bardzo mnie zainteresowała twoja opowieść! - wtrącił markiz.

- Zainteresowała cię! - wykrzyknęła młoda kobieta. - Bo robiłam to wszystko przez ciebie! Wciąż żywiłam nadzieję, że może pewnego dnia spotkam mężczyznę takiego jak ty, który zechce wziąć mnie za żonę. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało i dodała: - Ale nigdy nawet nie śniłam o poślubieniu ciebie. Było dla mnie, jak i dla moich bliskich, oczywiste, że gdy przyjdzie czas, wybierzesz sobie żonę spośród najpiękniejszych młodych panien Londynu.

Umilkła i czekała na jego reakcję.

- A potem nauczyłaś się karate - zauważył z przekąsem. - Teraz powiedz mi, bo to jest dla mnie naprawdę ważne, co zamierzasz robić ze mną?

- Właśnie chcę ci to powiedzieć.

- Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak tylko cię wysłuchać - powiedział z uśmiechem i Elmina, odwzajemniając uśmiech, zaczęła:

- Najpierw chcę, żebyś uwierzył, że... bardzo mi przykro.

- Nie ma potrzeby, byś mnie przepraszała. Pragnę natomiast poznać twoje plany na przyszłość.

Elmina, przechylając nieco na bok głowę, spytała:

- Co najbardziej lubisz robić? Co sprawia ci największą przyjemność?

Markiz pomyślał, że najstosowniejszą byłaby odpowiedź „kochać się”, lecz zdał sobie sprawę, iż w tych okolicznościach mogłaby się wydać niestosowna. Odparł więc:

- Trudno powiedzieć, ale może zwycięstwo w wyścigach.

- Ano właśnie! - wykrzyknęła. - Innymi słowy lubisz wyęczać inteligencję i wypróbować umiejętności. - Nie czekając, co powie mąż, ciągnęła: - To samo dotyczy polowania. Wiem, że żadnemu myśliwemu nie zależy w gruncie rzeczy na schwytaniu i zabiciu lisa. Prawdziwą radość sprawia mu sama gonitwa.

- Czy to ma jakieś odniesienie do nas? - spytał.

- Oczywiście, że ma - przytaknęła. - Myślę, że dla takiego mężczyzny jak ty byłoby mało satysfakcjonujące zdobycie żony bez należytego wysiłku i trudu lub poniechanie jej, gdyby zamiast „tak” powiedziała „nie”.

Markiz nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

- Czy ty naprawdę sama to wszystko wymyśliłaś?

- W głównej mierze sama - odparła i ciągnęła: - A jeżeli często wydawałeś się znudzony i, wedle słów Mirabel, pełen wzdąry, to dlatego, iż wszystko w życiu przychodziło ci zbyt łatwo. Jak w chińskim przysłowiu, którego nauczyłam się od Czanga: „Brzoskwinie same wpadają do otwartej dłoni.”

- Doskonale rozumiem, o co ci chodzi - wtrącił.

Pojął, że Elmina z niezwykłą u tak młodej dziewczyny przenikliwością odgadła charakter jego związków z kobietami. Istotnie wpadały mu w ramiona, zanim je ku nim wyciągnął, a przyzwolenie, które znajdował w ich oczach, przemieniało najzarliwszy nawet afekt miłosny w

romans pozbawiony cech ryzyka. Że też Elmina potrafiła przejrzeć to na wylot! Zapraǳął pytać ją dalej.

- Czy rzeczywiście uważasz, Elmino, że powinienem ścigać cię i tropić niczym lisicę lub zabiegać o ciebie jak o nagrodę w wyścigach, w przeciwnym bowiem razie pozostaniesz moją żoną jedynie z nazwy?

- Wyraziłeś to inaczej, aniżeli ja pomyślałam - sprostowała. - Chodzi mi o to, że jeżeli zostaniemy przyjaciółmi lub kompanami i będziesz miał możliwość poznania mnie, wtedy, być może, polubisz swoją „niezwykłą” żonę i... - przerwała, lekko się rumieniąc, jak gdyby bała się mówić dalej.

- ...ewentualnie zakocham się w tobie - dokończył markiz. - Czy to właśnie miałaś na myśli?

Skinęła głową na potwierdzenie, spłotła mocno palce i dodała:

- Wybacz mi... Ja wcale nie chcę być „trudna”... i bardzo mi przykro, że instyktownie broniłam się przed tobą... Ale pragnę otrzymać od ciebie dużo więcej, niż możesz mi w tej chwili zaoferować. - Sądząc, że markiz nie zrozumiał, ciągnęła: - Uznasz mnie za ignorantkę, ale ja nie jestem pewna, czy wiem, co znaczy „kochanie się” między mężczyzną a kobietą. Mama i siostry uważały, że jestem za młoda, by ze mną o tym mówić. A potem zaczęły się przygotowania do ślubu i zabrakło okazji.

Markiz słuchał oszołomiony. Nie spodziewał się miłosnego doświadczenia u czystej młodej dziewczyny, lecz zarazem nie wyobrażał sobie, że jego wybranka będzie kompletną ignorantką w tej dziedzinie.

- Jestem pewna, że cokolwiek się zdarzy, będzie... cudowne - ciągnęła Elmina stłumionym głosem. - Z przeczytanych książek wiem, że jest to ogromnie ważne dla młodych małżonków. Dlatego też zadałam sobie pytanie, czy po kilku zaledwie spotkaniach mogę być dla ciebie kimś... szczególnym?

Markiz milczał w zakłopotaniu. Młoda kobieta dodała więc:

- Być może nie rozczarujesz się mną po bliższym poznaniu i z czasem stanę się dla ciebie kimś innym niż kobiety, które dotąd kochałeś, lecz z których żadna nie zdołała cię do siebie przywiązać.

Markiz nabrał powietrza. Czuł się zagubiony w labiryncie myśli.

- Rozumiem, o czym mówisz, Elmino - wybąkał po długim namyśle. - Wszystko to jest dosyć niezwykle. Być może jednak jest to rozsądna droga do naszego małżeńskiego szczęścia.

- Rozumiesz mnie? Naprawdę rozumiesz? - wykrzyknęła.

- Myślę, że tak - odparł. - Dlatego mówię: spróbujmy.

Oczy Elminy zabłyśły.

- Dzięki ci! - zawołała. - Dzięki! tak bardzo się bałam, że nie zrozumiesz. I obiecuję ci, że dołożę wszelkich starań, by być taką żoną, jakiej ci potrzeba. Nie zawiodę cię.

- Wiem, że nie zawiedziesz - rzekł. - A skoro zgodziłem się zastosować do twoich sugestii, przyrzeknij mi coś!

- Co takiego?

- Że będziesz absolutnie szczerą i prawdomówną we wszystkich sprawach dotyczących nas obojga. Gdy zaś uznasz, że wygrałem w wyścigach, powiesz mi o tym.

- Sądzę - uśmiechnęła się - że wygrasz je dla siebie. I dziękuję ci za okazanie mi tak wielkiego zrozumienia.

Markiz wstał.

- Idę teraz do łóżka, Elmino, by przemyśleć wszystko, cośmy tu sobie powiedzieli. A ty śpij. Abyś nie była zmęczona jutro rano podczas przejażdżki.

- Nie będę zmęczona. Już czekam z utęsknieniem na tę chwilę.

Zwróciła ku niemu głowę. Jej popielate włosy zaśniły srebrzyście w świetle kandelabrow, oczy zaś zaiskrzyły się tak, że markiz zawahał się, czy nie pocałować żony. Uznał jednak, iż naruszyłby reguły gry. Musnął więc tylko ustami jej dłoń.

- Dobranoc, Elmino - rzekł. - Z radością będę cię ścigał jutro i tropił na różne sposoby.

- Zdaje się, że dzisiejszy nokaut sprawił coś bardzo dobrego - zaśmiała się uszczęśliwiona.

Markiz z uśmiechem opuścił pokój.

Następnego ranka młoda pani zeszła na dół, gdy wskazówki starego zegara w holu wskazywały dziesięć po siódmej. Była pewna, że wypadnie jej czekać na męża. On jednak odebrał właśnie z rąk lokaja swój wysoki kapelusz. Wyglądał imponująco w białych bryczesach i lśniących butach.

Elmina w wytwornej londyńskiej amazonce prezentowała się nie mniej świetnie. Sama ją sobie wybrała.

Hrabina, z braku zainteresowania dla garderoby sportowej, dała jej wolną rękę. Amazonka zaś była dla Elminy ważniejsza niż suknie. Nieco ekstrawagancka, uszyta z ciemnonie-

bieskiego jedwabiu, stanowiła idealne obramowanie dla jej włosów i cery. Obfita, koronkowa halka pod szeroką spódnicą i mocno wcięty w pasie żakiet podkreślały gibkość figury. Szyję zdobiła kokarda w kolorze bladego błękitu. Bładobłękitny był również tiulowy welonik opadający na plecy z wysokiego kapelusza o kształcie korony.

Ujrzawszy męża Elmina zapomniała o swoim wyglądzie. Wyszła pośpiesznie przed dom. Naprzeciw frontowych drzwi czekały już konie. Chłopiec stajenny trzymał jej wierzchowca, Hogson zaś prowadził Samsona, ogiera markiza. Obaj uśmiechnęli się szeroko na jej widok.

- Dzień dobry, Hogson! Dzień dobry, Jim! - powitała ich serdecznie.

- Dobry, milady! - odkrzyknął Jim. - Skowronek jest dzisiaj bardzo rozbrykany. Od przedwczoraj nie był na bieżni. Nie mieliśmy na to ani chwili czasu.

- Cieszy mnie to.

Markiz, schodząc ze schodków za żoną, usłyszał jej rozmowę ze stajennym i rzucił szorstko:

- Skoro Skowronek jest zbyt rozbrykany, w stajni można znaleźć spokojniejszego konia.

Rzucił Hogsonowi oskarżycielskie spojrzenie, lecz główny stajenny, wiedząc dobrze, że młoda pani potrafi opanować najbardziej niesforne zwierzę, rzekł:

- Jej wysokość poradzi sobie z nim, milordzie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odburknął markiz złowieszczym tonem.

Zaniepokojona, że mógłby ją zmusić do wzięcia spokojniejszego konia, dosiadła Skowronka jednym skokiem, nie czekając na pomoc męża. Wtedy i on wspiął się na swojego wierzchowca i ruszył przodem. Podążała za nim czując, że Jim miał rację uprzedzając, że Skowronek jest w nader figlarnym nastroju. Był to jej ulubiony koń - o czym Hogson dobrze wiedział - i ilekroć pojawiała się w stajni, zawsze najpierw spieszyła do niego. Z początku wydawał się nie do opanowania. Gdy jednak zaczęła z nim częściej rozmawiać, dał się jej z pomocą Hogsona dosiąść i stał się dużo bardziej uległy w krótszym, niż się spodziewano, czasie.

Znała powód, dla którego Hogson przyprowadził jej Skowronka na pierwszą przejażdżkę z mężem. On po prostu rozumiał, ile ten koń dla niej znaczy. Markiz zaś nawet nie podejrzewał, że oni od dawna są w przyjaźni.

Skowronek brykał jak zwykle, płosząc się i trwożąc wszystkim, co było w ruchu. Zarazem, kładąc uszy po sobie, nasłuchiwał głosu swojej pani, która mówiła mu, jak bardzo jej teraz zależy na jego zachowaniu.

Tymczasem, jadący przodem markiz zostawił za sobą parkowe dęby i ruszył na północ. Elmina wiedziała, że zaraz puści się galopem. Znajdowali się na płaskiej przestrzeni, poniżej miejsca, które podczas wyścigów pełniło rolę wieży obserwacyjnej i skąd wraz z Czangiem przyglądała się jeźdźcom. Słońce świeciło, trawa była skoszona, a galop miał być w pełni formalnym wyścigiem między żoną a mężem.

Markiz ściągnął wodze swojego konia, aby mogła się z nim zrównać. Już nie musiał jej pokazywać drogi przez park.

- A teraz galop, Elmino - powiedział. - Myślę, że powinniśmy wykrzesać trochę ognia ze Skowronka.

- Zgoda!

Szepcąc coś do ucha konia, lekko spięła go ostrogami i Skowronek pomknął przed siebie jak strzała. Markiz potrzebował kilkunastu sekund, żeby się zrównać z żoną. Odtąd już galopowali łeb w łeb, z niewiarygodną szybkością, aż zapierało im dech w piersiach. Konie jakby instynktownie wiedziały, iż są to zawody ważne dla ich jeźdźców. Skowronek wyężył wszystkie siły, by prześcignąć Samsona, potężnego ogiera, który zazwyczaj nie zezwalał wyprzedzić się żadnemu rywalowi. Chyba właśnie Skowronka pokonał w gonitwach zeszłej zimy.

Konieczność skupienia się na jeździe i ogłuszający dźwięk kopyt końskich bijących w suchą ziemię oderwały ją od wspomnień. Galop dobiegał końca. Elmina odbyła go na pewno w rekordowym tempie.

Gdy minęli biały słupek, który nie tylko oznaczał metę, lecz sygnalizował, że należy powściągnąć konie, nie dopatrzyła się pomiędzy Samsonem a Skowronkiem nawet calowej odległości. Zaczęła więc ściągać lejce swojego wierzchowca, wiedząc, że mąż robi to samo. Potem, kiedy oba konie przeszły w trucht i mogła złapać oddech, zwróciła roześmianą twarz ku małżonkowi.

- Chciałbym przypisać sobie zwycięstwo - rzekł - ale, jak dobrze wiesz, nie mogę.

- Uważam, że to był remis.

Nutka podniecenia w jej głosie nie uszła jego uwagi.

- Spodziewałem się, że jako córka swego ojca jeździsz dobrze. Ale jak dotąd nie spotkałem ani kobiety, ani mężczyzny, którzy by tak jak ty potrafili opanować Skowronka.

Elmina wychyliła się do przodu i pogłaskała szyję konia.

- To mój stary przyjaciel - rzekła bezwiednie. - Rozumiemy się nawzajem doskonale.

I zaraz, zdawszy sobie sprawę ze swoich słów, spojrzała z uwagą na markiza.

- A więc poznałaś już wcześniej moje konie! - wykrzyknął. - Od razu wydało mi się dziwne, że zwracasz się po imieniu do mojego chłopca stajennego.

- Zawiniłam, panie mój!

- Kiedy odwiedzałaś moje stajnie i kto cię zapraszał?

Elmina opowiedziała mu historię o zgubionej końskiej podkowie i o tym, jak Hogson uprosił kowala o pomoc.

- A co było potem?

Małżonkowie wracali teraz wolno drogą, którą dopiero co przebyli galopem. Elmina nie patrzyła na męża, a on wiedział, że czuje się zakłopotana.

- Wyobrażam sobie, że obeszłaś już wcześniej cały mój dom. Wczorajszej nocy zdziwiło mnie, że znalazłaś drogę do sypialni bez niczyjej pomocy.

- Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż sądziłam.

- Nie jestem pewien, czy to komplement, czy zniewaga. Czy też jedno i drugie.

- Przyznaję, że bywałam w Falconie przy różnych okazjach. Możesz więc już teraz zrozumieć, że o ile najpierw zapragnęłam poślubić cię dla twoich koni, to potem rozkochałam się także w twojej bibliotece.

Markiz roześmiał się ze szczerym rozbawieniem.

- Jeśli sprawisz mi więcej niespodzianek, dostanę ataku serca - wykrztusił. - Mówiąc szczerze, Elmino, zacznym się ciebie bać!

- Myślę, że nie masz ku temu powodów - rzekła impulsywnie i zaraz zrozumiała, że on się z nią po prostu droczy.

- Osoba podejrzliwa mogłaby dojść do wniosku, że postanowiłaś mnie poślubić na długo przedtem, nim dowiedziałem się o twoim istnieniu.

- Jakże możesz tak myśleć, skoro twój list oświadczynowy spadł na nas niby grom z jasnego nieba. Papa nie mógł uwierzyć, że to nie jest żart.

- Dlaczego był tak zaskoczony? Przecież omówiłem z nim tę rzecz w klubie.

Elmina roześmiała się.

- Papa nie miał pojęcia, o co ci chodziło. Ponoć paru młodzieńców czyniło w klubie taką wrzawę, że nic nie słyszał. Co gorsza mówiłeś do jego głuchego ucha.

Markiz wybuchnął śmiechem tak gromkim, że dookoła rozeszło się echo.

- Wszystko, co wiąże się z tobą, Elmino, jest niezwykle. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że twój ojciec mnie w ogóle nie słyszy.

- Papa pojął, o co ci chodziło, dopiero po przeczytaniu twojego listu.

- A potem co się działo?

- Kiedy odczytał nam twój list przy śniadaniu, Mirabel oznajmiła, że kocha Roberta i zamierza go poślubić, potem Deirdre przyznała się, że i ona jest sekretnie zaręczona z Christopherem Bardsleyem.

- A więc zostałaś tylko ty.

- Zostałam ja - powtórzyła. - I kiedy oświadczyłam, że jestem gotowa wyjść za ciebie, papa i mama uznali, iż jestem na to za młoda. Chociaż mi tego nie powiedzieli, sądzę, że chodziło im o twoją reputację.

Uśmiechnęła się zaczepnie, ale nim zdążył odpowiedzieć, ruszyła galopem przed siebie w stronę wieży obserwacyjnej. Ponieważ nie mogliby jechać obok siebie wąską ścieżką, markiz zrównał się z nią w chwili, gdy tam dojeżdżała.

- Nie próbuj skakać przez płotki - rzekł stanowczo. - Są za wysokie dla kobiety.

Elmina nie odpowiedziała. Podniosła pejcz i leciutko dotknęła nim boku Skowronka. Ruszył przed siebie z szybkością pocisku. Wziął trzy przeszkody, zanim markiz zbliżył się na odległość głosu. Elmina spodziewała się, że teraz nakaże jej stanąć, lecz on po prostu zawołał, galopując obok:

- Jeśli nie pobiję cię tym razem, poniecham jazdy konnej.

Było to wyzwanie, któremu nie potrafiła się oprzeć, ponagliła więc Skowronka. Ostrożnie pokonywała przeszkody uważając, by nie upaść, co pozwoliłoby markizowi bezapelacyjnie zwyciężyć. Robiła, co mogła, i Skowronek dawał z siebie wszystko, lecz markiz wyprzedził ją przy ostatnim płotku i Samson minął metę przynajmniej o pół długości wcześniej.

Kiedy powściągnęli konie, zauważyła, że mąż jest szczęśliwy ze swego zwycięstwa. Drocząc się z nią, rzekł:

- Nie takie to znowu nieodpowiednie dla kobiety! Ale następnym razem musisz się bardziej wysilić.

- To skrajna małoduszność z twojej strony - odcięła się. - Skowronek skakał nie gorzej niż Samson, chociaż ma trochę krótsze nogi.

- Byliście oboje wspaniali, doskonale o tym wiesz. - Oczy markiza zaiskrzyły się z uciechy. - Wracajmy już do domu. Czuję, że rzetelnie zapracowałem na swoje śniadanie.

Kiedy jechali z powrotem, Elmina myślała sobie, iż jeszcze nigdy w życiu nie bawiła się tak dobrze. Miała uczucie, że markiz już zaczął myśleć o niej w inny sposób. Lecz może się

myliła? W końcu nie była niczego pewna, z wyjątkiem faktu, iż - dzięki Czangowi - zaczęła swoje małżeństwo tak, jak chciała je zacząć.

Na razie mogła się jedynie modlić, by instynkt oraz medytacja pomogły jej zrealizować marzenia. Żywiła jednak pewne obawy, czy nie żąda zbyt wiele.

TLR

Rozdział 6

Elmina obudziła się z uczuciem szczęścia. Przez chwilę myślała, że już trzeba wstawać. Lecz zaraz uświadomiła sobie, że przecież wciąż jest ciemno, najmniejsza smużka światła nie przedziera się przez zasłony. Leżała więc rozpamiętując wszystkie radości, jakich zaznała w ciągu pierwszego cudownego tygodnia swego małżeństwa. Nie miała pojęcia, że bycie sam na sam z mężczyzną mądrym i błyskotliwym może być tak fascynujące. Wciąż działo się coś niezwykłego, tak że w ciągu dnia nie miała ani chwili, by zastanowić się nad różnymi sprawami. A gdy wieczorem kładła się do łóżka, zasypiała przyłożywszy głowę do poduszki.

Drugiego dnia po ślubie markiz, przemyślawszy widać wszystko dokładnie, oświadczył:

- Jestem niezmiernie zaintrygowany faktem, że moja żona zna karate. Niemniej czuję, że nie zniósłbym, gdyby pokonała mnie fizycznie w walce, o której nie mam zielonego pojęcia.

Spojrzała nań pytająco, dodał więc:

- Dlatego proponuję, byś zaczęła uczyć mnie tej sztuki, w której jesteś tak biegła. Albo poproś o to swego mistrza.

- Naprawdę tego chcesz? - wykrzyknęła podniecona. - Oczywiście, że poproszę Czanga. Ja jestem jedynie jego uczennicą i nie dorównuję mu nawet w podstawowych chwytach.

Gotowość markiza, by uczyć się karate, do głębi poruszyła Elminę. Nie zwlekając młoda kobieta napisała list do ojca z prośbą - o przysłanie na kilka dni Czanga. Jednocześnie skreśliła słówko do swego nauczyciela, zapraszając go do Falconu i nadmieniając, by zabrał ze sobą odpowiednie ubranie.

Hrabia był zaintrygowany życzeniem córki. Nie odmówił jej czując, że chodzi tu o coś ważnego. Kilka godzin później Czang zjawił się w domu swej młodej pani. Markiz był na tyle przezorny, że wraz z listem posłał też konia dla Chińczyka. Elmina tymczasem przygotowała pokój do ćwiczeń, na piętrze, gdzie znajdowały się mało używane sypialnie. Kiedy oświadczyła ochmistrzyni, iż życzy sobie, by usunięto z nich meble, a na podłodze umieszczono maty, pani Leonard nie posiadała się ze zdumienia:

- A po co to wszystko, milady?

- Jego wysokość zamierza urządzić tu salę gimnastyczną - odparła młoda dama. - A na razie to pomieszczenie ma mi służyć do moich specjalnych ćwiczeń. Nie chciałabym się pośliznąć na wypolerowanej podłodze.

- Doskonale rozumiem milady - powiedziała pani Leonard, choć Elmina była pewna, że uważa to za dziwactwo.

Gdy już wszystko było gotowe, markiz oświadczył, że najpierw chce zobaczyć swoją żonę w walce z Czangiem. Była tym tak podniecona i przejęta, że przebierając się w swoje czarne pantalone nie zauważyła, iż mąż przypatruje jej się błyszczącymi oczyma. Dzięki temu nie odczuła zakłopotania. Całkowicie swobodna i odprężona nie miała pojęcia, że dokonał właśnie zdumiewającego odkrycia. Oto jego młoda małżonka, ubrawszy się rankiem, rzadko spogląda w lustro i nigdy, jak się zdaje, nie oczekuje komplementów pod adresem swego stroju. Zupełnie przeciwnie niż inne kobiety. Teraz zaś była ubrana jak chłopiec i po raz pierwszy mógł zobaczyć, jak bardzo jest smukła i jak sprężyste ma ciało.

Usadowił się na krześle w rogu pokoju i z zainteresowaniem przysłuchiwał się objaśnieniom Czanga. Dowiedział się, że przede wszystkim należy się upewnić, czy dłoń jest właściwie zwinięta w pięść.

- W przeciwnym razie, milordzie, możesz doznać uszczerbku przy uderzeniu przeciwnika - tłumaczył mistrz karate.

Potem pokazał markizowi *seiken tsuki* - cios w splot słoneczny, który Elmina zręcznie odparowała przeciwnym ciosem. Jednakże uczeń zainteresował się szczególnie uderzeniem *mae geri*. Tym sposobem bowiem małżonka powaliła go na podłogę w noc poślubną. Gdy Czang i Elmina zademonstrowali *mawashi geri*, cios wymierzony stopą w głowę, postanowił, że tego właśnie musi się nauczyć.

Elmina ze zdumieniem stwierdziła, że o ile przy pierwszym spotkaniu Czang był wobec markiza pełen usługnego respektu, to wkrótce potem, gdy tylko zaczął z nim lekcje, stał się stanowczy i autorytatywny. Wiedziała, że duchowa strona karate była dlań daleko ważniejsza niż ćwiczenia fizyczne. Ku jej zaskoczeniu markiz szybko zrozumiał i zaakceptował to, a gdy Chińczyk pokazał mu specjalną technikę oddychania, uczeń natychmiast pojął duchowy aspekt mentalnej koncentracji. „On jest bardzo, bardzo mądry” - pomyślała, przekonawszy się, że nawet prędzej niż ona pojął istotę karate, sztuki walki, której pierwszym nauczycielem był mnich Bodhidharma w klasztorze Shaolin.

Trudzili się razem z Czangiem przez ponad dwie godziny, potem pozwolili mu, by w towarzystwie Hogsona obejrzał konie, a sami udali się na przejażdżkę konną. Uważając, że dość było wysiłku jak na jeden dzień, jechali wolno przez las. Elmina zachwycała się urodą drzew i

małych jezior, skąd na ich widok uskakiwały dzikie sarny. Rzadkie ptaki, jakich nigdy dotąd nie widywała, ulatywały na wierzchołki drzew, nim mogła im się przyjrzeć.

- Mój ojciec bardzo interesował się ptakami - wyjaśnił markiz. - W pewnym okresie miał wielką ptaszarnię. Kilka ptaków uciekło i rozmnożyło się w lesie, jak widać, bez trudności.

- To cudowne! - wykrzyknęła - ale obawiam się, że twoi goście, polując na bażanty albo pardwy, mogą je pozabijać przez pomyłkę.

- Nie uczynią tego, jeżeli chcą być stale zapraszani - odparł sucho.

Elmina wiedziała, że nie mógłby wymyślić skuteczniejszej kary.

Przy kolacji mieli sobie tyle do powiedzenia, że nawet nie spostrzegła, iż nadszedł wieczór i pora kłaść się spać. Gdy się rozstawali, markiz, jak to miał we zwyczaju, odprowadził ją do drzwi sypialni i rzekł:

- Do jutra rana, jeżeli jak zwykle masz chęć na przejażdżkę, Elmino. Śpij dobrze.

- Ty również śpij spokojnie - odwzajemniła jego życzenie.

- Na pewno przyśni mi się, że pokonujesz mnie w skokach - zaśmiał się - albo powalasz mnie jakimś nowym chwytem, którego Czang zapomniał mi pokazać.

Elmina roześmiała się również. Kiedy jednak znalazła się w sypialni, poczuła się nagle bardzo samotna i zapragnęła dalszej z nim rozmowy.

- Jest taki inteligentny - westchnęła.

Odmówiła króciutką modlitwę dziękczynną za to, że może z nim rozmawiać na równych prawach. Niekiedy czuła, że mąż rozmyślnie podejmuje tematy przekraczające intelektualne możliwości przeciętnej kobiety, jakby chciał przyłapać ją na ignorancji. Bardzo rzadko jednak zdarzało się jej nie rozumieć, o czym on mówi. Zazwyczaj rozmowy ich były nader żywe, czy to o zawiłych sprawach religijnych, o których wiedziała nie mniej niż on, czy też o różnych kwestiach historycznych. Jakkolwiek było, Elmina zdawała sobie sprawę, że ani Mirabel, ani Deirdre nie potrafiłyby sprostać mu w dyskusji, podobnie zresztą jak żadna z jego przyjaciółek. Niemniej nurtowało ją pytanie, czy ciągle jeszcze myśli o lady Carstairs.

Czasami, gdy po obiedzie siedzieli w salonie, miała wielką ochotę zagadnąć go, czy nie wolałby patrzeć w niebieskie, pełne obietnic oczy ukochanej zamiast nudzić się tu ze swą żoną. Nie zdobyła się jednak na to. Choć przyrzekli sobie wzajemną szczerość, wiedziała, że jego miłość to tabu i wszelkie wścibstwo odebrałby jako przejaw złego smaku.

Leżąc teraz w ciemności Elmina zastanawiała się, jak zresztą każdej nocy, jakie uczucia żywi teraz do niej markiz i czy zmieniły się w jakiś sposób od tamtej pierwszej poślubnej nocy,

gdy przyszedł do jej sypialni. Spodziewał się wówczas, że będą się kochać, choć nie miałyby to dlań uroku miłości, a dla niej nie byłoby tym szczególnym duchowym doświadczeniem, jakiego pragnęła zaznać. Musiał jednak pragnąć jej, skoro przyszedł. Teraz, po wspólnie spędzonym tygodniu, nie dawał po sobie poznać, czy myśli o niej jako o atrakcyjnej, pożądanej kobiecie. „Może straciłam go przez to, że jestem zbyt mądra?” - myślała.

Potem, ku własnemu zaskoczeniu, zadała sobie pytanie, czy słusznie dążyła do małżeństwa z mężczyzną, który przywykł do zupełnie innych kobiet. A co by było, gdyby pozwoliła mu kochać się wtedy, jak tego żądał, jak oczekiwał? Może rozkochałby się w niej, zamiast traktować ją, stosownie do jej własnego życzenia, jak kompana, w dodatku męskiego?! „Może postąpiłam głupio? Niczym stryjek, co zamienił siekierkę na kijek?!” - zadreślała się pytaniami. Czowała się opuszczona, samotna, bardzo młoda i beznadziejnie naiwna. Cóż wiedziała o mężczyznach, zwłaszcza pokroju markiza? Jak mogła zmuszać go do zmiany postępowania, powodując jego oddalenie? „Byłam idiotką!” - skarciła się, bliska płaczu. Nieodparty impuls nakazał jej pójść do sypialni męża, obudzić go i poprosić o szczerą. Wyobraziła sobie, że to czyni. Powiedziałyby mu: „Popełniłam błąd! Proszę cię, daruj mi. Jestem gotowa. Chcę być twoja, jak tego pragnęłaś tamtej weselnej nocy. Zaczniemy już teraz, miast martwić się, czy powoduje nami idealna miłość, czy całkiem coś innego.”

Potem powiedziała sobie, że wszystko, w co wierzyła, i wszystko, czego uczył ją Czang, utwierdziło ją w przekonaniu, że miłość to wartość, o którą trzeba zabiegać. Rodzi się nie tylko w sercu i ciele, lecz także w duszy. „Ale dlaczego markiz miałby w to wierzyć?”

Pytanie zdawało się wirować przed jej oczami. Podekscytowana nurtującymi ją myślami, przestraszona ich intensywnością, wstała z łóżka i podeszła do okna. Wśliznęła się za zasłony, jak pierwszej nocy po ślubie, i stała tam, wpatrując się w ogród i jezioro. Księżyc zbladł, ale wciąż było dość jasno od jego blasku i od blasku gwiazd, by widzieć piękno okolicy. Zamiast upajać się, jak zwykle, uwznioślającym czarem nocy, czuła tępy ucisk lęku, że nigdy nie znajdzie tego, czego szuka, i nigdy nie stanie się nikim szczególnym dla markiza. „Kocham go!” - pomyślała i zdumiała się swoim odkryciem. „Chcę, żeby kochał mnie tak, jak mężczyzna kocha kobietę, która jest dla niego kimś więcej niż reszta kobiet!” Zaraz jednak powiedziała sobie z rozpaczą, że to nigdy nie nastąpi, i całe jej ciało, od stóp aż do głowy, przeszył ból. Poczuła, że nie zniesie dłużej samotności w tym wielkim pokoju z kupidynami, symbolizującymi miłość, która jej się wymknęła. Podobnie jak w domu rodzinnym, tak i tu znajdzie swoją jedyną radość w obcowaniu z końmi.

Na myśl o koniach przypomniała sobie, że czeka ją jutro ekscytująca sprawa: oględziny wierzchowca, który przybył do Falconu wczoraj i którego markiz chce rano wypróbować. Dwa dni temu, czytając list dopiero co przyniesiony z poczty, wykrzyknął z podniecenia.

- O co chodzi? - spytała.

- Mam dla ciebie niespodziankę - odparł. - Czuję, że sprawi ci ona nie mniejszą przyjemność niż mnie.

- Ale o co chodzi? - powtórzyła pytanie, zaintrygowana.

- Kupiłem klacz rasy arabskiej, zdaniem ekspertów najwspanialszą na świecie.

Oczy Elminy zajaśniały. Markiz zaś mówił dalej:

- Należała do szejka arabskiego, któremu niegdyś wyświadczyłem przysługę. Gdy usłyszałem o klaczy, napisałem do niego list z prośbą, by pozwolił mi dostąpić zaszczytu stania się jej właścicielem, o ile zdecyduje się ją sprzedać.

- I odpowiedział „tak”?

- Odpisał mi w kwiecistym wschodnim stylu, że czułby się zaszczycony, gdyby Szalon (takie imię nosi klacz) mogła uświetnić moje stajnie. - Markiz rzucił okiem na list i dodał: - Nie mówiłem ci o tym, gdyż Arabowie są nieodgadnieni. Brałem jednak pod uwagę ewentualność, że zgadzając się na sprzedaż mi klaczy, znajdzie mnóstwo wymówek, by zatrzymać ją we własnej stajni. - Wyciągnął list ku Elminie. - Myliłem się. Jak widzisz, informuje mnie, że Szalon przybyła właśnie do Dover i jeżeli Allah zechce, zjawi się tutaj za dwa dni.

Elmina była prawie tak podekscytowana jak markiz i gdy klacz przyjechała o zmierzchu, poszli oboje do stajni, by zobaczyć ją, całą i zdrową, w przygotowanym dla niej boksie. Była pięknym zwierzęciem o wygiętej w łuk szyi i wszystkich zaletach araba czystej krwi. Eksperci niewątpliwie mieli rację.

Ku irytacji markiza nie dało się zataić przed prasą faktu jej kupna. Dziennikarze nadali rozgłos przybyciu arabki, opisali też dom i stajnie markiza, nie szczędząc przy okazji licznych pochlebnych słów innym koniom. Elmina, przeczytawszy dwa artykuły w „The Times” i w „Morning Post”, zauważyła:

- Niewątpliwie jest to zapowiedź tłumu ciekawskich u naszych bram.

- Przekłete pismaki! - zżymał się markiz. - Nie cierpię rozgłosu. Z zasady przynosi kłopoty.

Mając w pamięci plotki na temat markiza i lady Carstairs, młoda dama zmieniła temat. Niemniej była pewna, że ludzie, nie zważając na ich miodowy miesiąc, zaczną wkrótce dobijać się do Falconu.

Toteż teraz, czując, że nie zaśnie, postanowiła złożyć krótką wizytę w stajni. Nierzadko czyniła to w Warne Park podczas bezsennych nocy. Zapaliła świecę i otworzyła szafę, by wybrać sobie odpowiedni strój. Pierwszą rzeczą, która wpadła jej w ręce, był kostium do karate. Łatwiej wśliznąć się w pantalon i tunikę niż w cokolwiek innego - pomyślała. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ją zauważyć, zrzuciła nocną koszulę i ubrała się. Potem związała włosy wstążką, otworzyła po cichu drzwi sypialni i wyszła.

Jak zwykle nocą tylko w nielicznych srebrnych lichtarzach paliły się świece, ale i tak bez trudu znajdowała drogę. Nie schodziła jednak głównymi schodami, gdyż w holu pełnił nocną służbę dyżurny lokaj. Wybrała boczne schody, prowadzące do wyjścia na ogród. Stamtąd już tylko króciutki odcinek drogi, obrośniętej rododendronami, dzielił ją od stajni.

Było dość jasno, by nie pobłądzić, lecz zarazem dostatecznie ciemno, by nikt jej nie dostrzegł. Nie miała ochoty nikomu tłumaczyć, dlaczego nie śpi w środku nocy.

Przez wielkie wrota weszła do pogrążonej we śnie stajni. Aczkolwiek zwykle jeden lub dwaj chłopcy stajenni pełnili tam nocny dyżur, czuwając nad spokojnym snem zwierząt, miała nadzieję, że oni również posnęli i nie usłyszą jej. Ze zdziwieniem stwierdziła, że zewnętrzne drzwi są otwarte. Zbliżając się do przegrody Skowronka z nie mniejszym zaskoczeniem skonstatowała, że w sąsiednim boksie, przeznaczonym dla Szalon, świeci się światło. Pośpieszyła tam. Drzwiczki boksu były także otwarte i - ku przerażeniu Elminy - w środku znajdowało się dwóch nie znanych jej mężczyzn. Usłyszawszy odgłos kroków odwrócili się ku niej i jeden z nich wykrzyknął schrypniętym głosem:

- Ktoś ty i czego chcesz?
- To kobieta - odezwał się drugi.
- Co wy tu robicie?... - zaczęła Elmina.

Wówczas coś ciężkiego spadło jej na głowę. Chciała krzyknąć, lecz głos zginął pod grubą końską derką, a ręce zostały związane powrozem. Podobnie skrupowano jej nogi w kostkach. Gdy krzyknęła ze strachu, przewrócono ją na ziemię. Wszystko to nastąpiło tak szybko, że nie zdążyła nawet pomyśleć. Związano ją jak kurczaka.

- A godałeś, Bert, żeś wszystkich załatwił - warknął jeden z bandytów.
- To prawda. Ino ty kobity tam nie było!

- *Tiens!* Co my z nią zrobim? - spytał inny głos.

Elminie przyszło na myśl, że to głos mężczyzny, który zaszedł ją od tyłu i omotał derką. Mówił obcym akcentem. Innym niż pozostali napastnicy.

- Najlepi weźma ją ze sobą - rzekł pierwszy. - Widziała nasze gęby. Mogłaby nas sypnąć.

- Najprościej byłoby ją zabić.

Ton, jakim to powiedziano, wprowadził Elminę w przerażenie.

- Wrócimy do tego później. Tera czas ruszać!

- Jeżeli weźmiemy klacz, nie będą nam potrzebne inne konie.

- W porządziu, Bert. Ale sprawuj się cicho i bierz ją. Posadź z przodu. Tak będzie łatwiej.

Ja pojedę na arabce.

Elmina słuchała ze zgrozą. Zrozumiała, że ci mężczyźni to złodzieje, którzy przyszli ukraść Szalon, gdyż została opisana w prasie jako najlepszy koń świata, a tym samym najdroższy. Ktoś ich wynajął do tej roboty.

Usłyszała, że któryś z mężczyzn zmierza do sąsiedniego boksu. Szedł po Skowronka. Gdy jednak ów dziki koń, nie znoszący obcych w swej przegrodzie, wierzgnął kopytami, Bert uciekł stamtąd czym prędzej, wrzeszcząc:

- Nie wezme tego zwierza!

- To znajdź se innego, ty głupi! - burknął inny mężczyzna, zapewne szef szajki. - Jest tu z czego wybierać!

Bert poszedł w przeciwną stronę i po chwili oznajmił:

- Jest tam taki, co wygląda na spokojnego. Ale sam go nie osiodłam.

- Dobra! Przyrowadź go! - rozkazał Abe. - Jacques ci pomoże!

Jacques to był ten, który pierwszy odezwał się na widok Elminy. Liczył sobie ze czterdzieści lat i wiedział, jak postępować z końmi. Miał w sobie coś, co charakteryzowało ludzi obcujących przez całe życie z tymi zwierzętami - stajennych i dżokejów. Osiodłanie Szalon nie sprawiło mu najmniejszej trudności. Klacz z całym spokojem poddała się jego zabiegom. Elmina wiedziała, że nie tylko z powodu zmęczenia długą drogą.

Młoda kobieta była przerażona. Nie wątpiła, że ci mężczyźni zabiją ją bez skrępowań, jeżeli dojdą do wniosku, że inaczej mogą mieć kłopoty. Bronić się nie mogła: ręce i nogi miała skrupowane. Usłyszała kroki dwóch mężczyzn prowadzących konie. Wracali z tylnej części stajni. Odniosła wrażenie, że jeden z tych koni to wierzchowiec markiza, dosiadany przezeń podczas polowań.

- Gotowyś, Abe? - spytał mężczyzna zwany Bertem. Abe, siodlający Szalon, odparł:

- Jo być gotów. Jacques niech dosiadzie tamtego.

- Ten lepszy.

- No to bierz i tego. Po prawdzie, to potrzebujesz tylko czterech nóg, by cię dowiozły do wybrzeża.

Teraz Elmina wiedziała już wszystko. Chcieli uprowadzić Szalon za granicę. Domyśliła się, że organizatorem kradzieży jest jeden z francuskich hodowców klaczy. Nie miała już wątpliwości, co to za akcent. Przecież najbardziej zawzięci rywale markiza w wyścigach to Francuzi!

- Przysyłali tutaj najlepsze swoje konie - opowiadał - by odnieść wreszcie upragnione zwycięstwo. I zawsze przegrywali.

- Uczestniczyłeś kiedykolwiek w wyścigach we Francji? - spytała.

- Raz albo dwa razy - odparł. - I zamierzałem startować w następnym sezonie. Ale chciałem mieć absolutną pewność, że koń, którego wystawię, będzie pierwszy na mecie.

- Myśle - zaśmiała się Elmina - że to bardzo niesportowe podejście.

- Ależ ja zwyciężam w wyścigach nie tylko dla własnej sławy, lecz również dla chwały Anglii! - odparł z nutą sarkazmu, tak częstą w jego głosie.

Elmina wszakże zdążyła się zorientować, że za kpiarstwem męża kryje się szczyry patriotyzm. Inne przypadkowe spostrzeżenia nasunęły jej domysł, że markiz wypracował sobie obronną postawę wobec świata, jakby w obawie przed zranieniem. Być może - powiedziała sobie tamtego wieczoru, gdy została sama - właśnie dlatego unikał prawdziwej miłości, że tak wiele dlań znaczyła. Trudno było w to uwierzyć, ale tak właśnie mogło być: lękał się, że - znalazłszy miłość - mógłby doznać rozczarowania. A to było ryzyko, do którego nie czuł się przygotowany. Na pozór nie pasowało to do jej oceny charakteru męża, tak że z pokorą zapytywała samą siebie, co tak naprawdę o nim wie. A w ogóle co wie o mężczyznach? Mógł być przecież dużo bardziej subtelny i uczuciowy, niż przypuszczała.

Tak więc Szalon została ukradziona i wywieziona do Francji, markiz zaś w konsekwencji stracił nie tylko pieniądze, lecz - co gorsza - konia, który miał być najbardziej drogocennym klejnotem w jego stajni. „Jak mogę temu przeszkodzić? Jak mogę mu pomóc?” - zastanawiała się. Ponieważ była całkiem bezradna, modliła się żarliwie o pomoc.

W pewnej chwili poczuła, że jeden z mężczyzn pociągnął za sznur kępujący jej kostki. Była pewna, że to Jacques, który ją związał. Uwolnienie kostek sprawiło jej ulgę. W pierwszym

odruchu chciała skoczyć na niego, ale powstrzymała ją myśl, że - nie widząc - może chybić, a wtedy jeszcze mocniej ją zwiążą. Potem mężczyzna - był to Abe - wziął ją na ręce i wyniósł z boksu Szalon na dziedziniec stajni. Stał tam koń markiza. Poczula, że Abe sadza ją okrakiem w siodle.

- Jedź z nią, Bert - polecił Abe. - A jeśli nie będzie ci wygodnie, możesz ją rzucić w krzaki, gdy oddalimy się od Falconu na bezpieczną odległość.

- Ona może nas wydać - sprzeciwił się Bert.

- Masz rację! - rzekł Abe po krótkim namyśle. - Lepiej weźmy ją ze sobą i wrzućmy do morza. Tam będzie mogła pogadać sobie o nas z rybami. - Zachichotał, rad z własnego dowcipu, i wrócił do stajni.

Wkrótce rozległ się stukot kopyt Szalon i Elmina usłyszała szept Abego:

- Spiesz się! Ruszaj!

Poczula, jak Bert wspina się i sadowi w siodle za jej plecami, jak chwyta lejce i brutalnie ściąga je po jej ciele ku sobie. Rzykownie balansując na brzeżku siodła, ścisnęła kolanami boki konia, by nie spaść. Całe szczęście, że miała na sobie pantalone zamiast spódnicy!

Podążając wolno za Abem, jadącym na grzbiecie Szalon, opuszczali dziedziniec stajni. Za plecami mieli Francuza.

Markiz również nie mógł zasnąć. Myślał o arabskiej klaczy, która pojawiła się w jego stajni, oraz o dniu spędzonym z Elminą. Jak każdego wieczoru rozpamiętywał rozmowy, które odbyli, i był coraz bardziej zdumiony bystrością umysłu oraz rozległością wiedzy tej młodziutkiej przecież kobiety. Pastor nie przesadził, wróżąc jej sukcesy na uniwersytecie.

On sam - przeciwnie niż większość rówieśników - pracował rzetelnie podczas studiów w Oksfordzie, z tej prostej przyczyny, że nauka sprawiała mu radość. Lubił ją wcale nie mniej niż zabawę. Uczestniczył w różnych grach, był członkiem Klubu Bullingdon i niewątpliwie zaglądał do kieliszka częściej, niż powinien. Nie zaniedbywał jednak swych obowiązków i nauczyciele byli z niego zadowoleni. W Oksfordzie nauczył się przede wszystkim organizować swój czas, tak by nie tracić ani jednej cennej chwili. Wszystkie godziny dnia wypełniał interesującymi go zajęciami. Odkrył, że w świecie, do którego należy, jego wiedza nie ma szczególnego zastosowania. Rozmowy w Pałacu Buckingham były nie mniej nudne i banalne niż w wielkopañskich rezydencjach. Zdarzały się wszakże wyjątki. Wkrótce po uzyskaniu tytułu markiz zaczął spędzać czas ze starszymi od siebie kobietami, gdyż, jak twierdził, jedynie w ich towarzy-

stwie się nie nudził. Uznały go zresztą za niezwykle mądrego jak na swój wiek i niepospolitego mężczyznę. Z czasem oczywiście markiz zaczął ulegać czarowi to tej, to tamtej pięknej damy. Jako że wszystkie były zameżne, uczył się od nich miłości. Było to coś, co pochodziło nie z ich umysłów, lecz z serc lub - jak mawiała Elmina - z dusz. W miarę upływu lat markiz upodobał sobie towarzystwo polityków, zwłaszcza zaś doświadczonych mężów stanu, znawców spraw międzynarodowych. Pozawierał znajomości z ambasadorami obcych państw akredytowanymi w Anglii. Przynajmniej raz w miesiącu wydawał dla nich przyjęcia w swojej wiejskiej rezydencji. Nie zapraszał wtedy kobiet i narzucał rozmowom bardzo wysoki poziom intelektualny.

W pierwszym tygodniu swego małżeństwa odkrył rzecz niewiarygodną: że jego młodzianka towarzyska życia byłaby absolutnie na miejscu wśród uczestników tych spotkań. Żaden temat nie byłby jej obcy, żadna dyskusja za trudna. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek spotkał równie inteligentną kobietę, może z wyjątkiem tych paru, które poznał zaraz po studiach. Czasami, gdy po kolejnej utarczce słownej z żoną musiał ogłosić remis, zastanawiał się, czy przyjdzie kiedyś chwila, gdy wypadnie mu uznać jej zwycięstwo.

Nie zapomniał lekcji, której mu udzieliła podczas nocy poślubnej. Z wielką satysfakcją stwierdził, że jeśli chodzi o karate i ju-jitsu, z każdym dniem jest sprawniejszy, a Czang, nauczyciel niezmiernie wymagający, jest niewątpliwie dumny z jego postępów.

- Ma pan naturalne predyspozycje do karate, milordzie - oznajmił dziś po lekcji. - Poza tym przyjemnie jest uczyć kogoś tak silnego i zdrowego jak wasza lordowska mość.

- Dziękuję - odparł markiz.

Wiedział, że sprawia radość Czangowi tym, iż nigdy nie kwestionuje pouczeń koniecznych do zrozumienia karate i tkwiącej u jej podłoża duchowości. Nie podważa znaczenia specjalnej techniki oddechów. Nie lekceważy ceremoniału gestów kurtuazji. Nawet Elmina była zaskoczona gotowością małżonka do składania pokłonów przeciwnikowi przed walką i po walce.

I oto teraz, gdy zrabowany koń unosił ją coraz dalej i dalej od Falconu, zrozpaczona kobieta zapragnęła nagle posłużyć się potęgą myśli. Przecież właśnie myśl wspiera każdy wymierzony cios, każdy wykonywany ruch. Myśl prześwieśla zamysł przeciwnika. Myśl stanowi część religii, z którą związana jest sztuka karate.

Przerażona, obolała i bezradna Elmina zaczęła się modlić. Pragnęła, by markiz odczuł, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Świadomość, że może umrzeć i nigdy go już nie zobaczyć, poraziła ją. Załkała rozpaczliwie każdym nerwem i każdą cząstką swej istoty. „Pomóż mi! Ra-

tuj!" Słala ku niemu myśli niczym lotne strzały. Przywoływała również Czanga. Chciała, by i on ją usłyszał.

Markiz zapalił świecę przy łóżku. Nie mogąc zasnąć, postanowił poczytać. W tajemnicy przed Elminą wziął sobie już wcześniej z biblioteki książkę o buddyzmie. Temat ten pasjonował ją nie mniej niż karate.

Od dawna nie czytał nic tak uczonego, brnął więc teraz przez stronice dzieła powoli, usiłując zrozumieć każde zdanie, by dotrzeć do, głębokich znaczeń słów. Nieoczekiwanie obraz twarzy żony nałożył mu się na to, co umysł jego uparcie starał się przeniknąć.

Markiz każdego dnia łapał się na rozmyślaniu o Elminie: jak to się dzieje, że tak bardzo różni się od innych kobiet. Co sprawia, że jej włosy, oczy, linie jej ust wydają się nie tylko niezwykle, ale również piękne? Zadawał sobie pytanie, czy w Londynie zrobiłaby furorę, czy też jej subtelna i dyskretna uroda pozostałaby nie zauważona? Wiedział jednak, że nie urodą podbiła go Elmina, ale tym, co kryło się głębiej. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która w tak młodym wieku łączyłaby wysoką inteligencję z pełną wyrazu osobowością i - nieświadoma tego - zachowywałaby się z równą swobodą. Początkowo myślał, że wynika to z jej skromności. I choć zakrawa na obojętność, dowodzi nie lada rozumu. Potem pojął, że tkwi też za tym fakt, iż zawsze pozostawała w cieniu swoich dwóch starszych sióstr, przede wszystkim zaś nie była kochana. Zajmowała jego myśli przez cały dzień, w taki czy inny sposób. Nocami zaś z trudem opierał się chęci pójścia do jej sypialni. Aczkolwiek wmawiał sobie, że chodzi mu jedynie o rozmowę, wiedział, że pragnie czegoś więcej.

- Do licha! Nie możemy tak dalej żyć! - powiedział nagle, zatrzasnąwszy książkę.

Zastanawiał się, czy Elmina byłaby wzburzona jego wtargnięciem, gdy rozległo się pukanie do drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał, lecz pukanie powtórzyło się. Powiedział więc:

- Proszę wejść!

Nie miał pojęcia, kto mógłby mu przerywać odpoczynek w samym środku nocy. Drzwi otworzyły się i zobaczył Czanga.

- O co chodzi? - spytał. - Czy coś złego dzieje się z końmi?

- Być może, milordzie. Nie wiem. Ale mam wrażenie, choć może się mylę, że co od razu pokornie przepraszam, że jej lordowska mość wzywa nas na pomoc.

- Wzywa? - rzucił markiz ostro. - Nie słyszałem.

Czang wszedł do pokoju, położył dłoń na dłoni, ramiona przycisnął do boków i złożył głęboki ukłon.

- Wybacz, panie, to niewczesne zjawienie się mizernego sługi, lecz czuję, że moja pani mnie przywołuje. Obawiam się, iż jest w niebezpieczeństwie.

Jak zawsze w chwilach wzruszenia Czang dawał wyraz uczuciom bardziej na sposób chiński niż angielski. Markiz wahał się przez chwilę. Przyszło mu na myśl, że sługa bredzi. A jednak w tym, co mówił, był jakiś ton, który nie pozwolił markizowi zbagatelizować sprawy.

- Zobaczymy, czy twoja intuicja cię nie zwodzi - oznajmił.

Wstał z łóżka i nie tracąc czasu na ubieranie się, ruszył w stronę drzwi łączących jego sypialnię z sypialnią żony. Otworzył je delikatnie, nie chcąc jej budzić, jeśli by spała. Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że gdyby tak było, pokój tonąłby w ciemności. Tymczasem obok łóżka paliła się świeca. Zaczął podejrzewać, że stało się coś złego.

Tym bardziej że sypialnia była pusta. Oczy markiza wypatrzyły ciśniętą w kąt nocną koszulę. Zrozumiał, że Czang się nie myli.

Zawrócił do swojej sypialni. Chińczyk już mu szykował ubranie. A markiz myślał gorączkowo, co też mogło się zdarzyć. Nie ulegało dlań wątpliwości, że jeśli ona jest w niebezpieczeństwie - choć trudno w to uwierzyć - to on musi ją ratować.

Ubrał się pośpiesznie, szybko zawiązał na szyi jedwabną chustkę. Zrozumiał, że Elmina jest mu droższa, niż byłby skłonny sam przed sobą się do tego przyznać. Pragnął jej nie tylko jako kobiety. Pragnął jej, bo kochał swoją żonę - jak mu się teraz wydawało - już od bardzo dawna.

Rozdział 7

Gdy markiz i Czang byli blisko stajni, wybiegł im naprzeciw Hogson.

- Milordzie! Właśnie pana szukałem! - krzyczał wzburzony. - Ktoś ukradł arabską klacz i dwa inne konie!

Był tak zdyszany, że trudno go było zrozumieć. Szedł za markizem do stajni, wciąż mówiąc:

- Pobili chłopców stajennych pełniących służbę, milordzie. Mój synek widział ich przez okno.

Markiz dotarł do przegrody Szalon, a Hogson ciągnął:

- Obudził go hałas, którego narobili. Mówi, że uwozili ze sobą chłopca owiniętego w końską derkę.

Markiz znieruchomiał.

- Chłopca? - spytał.

- Mój syn powiedział, że był w długich obcisłych spodniach, milordzie!

Markiz w poczuciu bezradności zastanawiał się przez chwilę, co zrobić. Wtedy Czang, który wszedł za nim do pustej przegrody, wykrzyknął:

- Ten złodziej to Francuz, milordzie!

- Skąd wiesz? - spytał ostro markiz.

Czang pokazał mu sznur porzucony nie opodal.

- Tylko we Francji robią takie węzły. To nie angielskie roboty.

Markiz zwrócił się do Hogsona:

- Jak dawno temu twój syn widział odjeżdżających mężczyzn?

- Niedawno, milordzie. Jakies dziesięć minut temu.

- Siodłaj Samsona!

Rozkaz markiza zabrzmiał w stajni niby dzwon. Czang pobiegł do następnej przegrody i zaczął siodłać drugiego konia. Robił to tak szybko, że nim Samson był gotów, Chińczyk już czekał na swoim koniu przed bramą.

- Weź trzech ludzi, Hogson, i ruszaj za mną! - rozkazał znów markiz i pojechał przodem.

Dzięki Czangowi wiedział już, że rabusie zmierzają do wybrzeża. Jadą prosto na południe. Muszą więc przebyć park i zjechać w dół, do kotliny, gdzie znajduje się wieża wyścigowa. Biorąc pod uwagę, które konie ukradli, obliczył sobie, że Samson może ich dogonić. Poza

tym Elmina utrudnia im jazdę, obciążając Szalon - rachował w myślach, pełen niepokoju. Domyślił się, że zabrali ją ze sobą, ponieważ mogłaby ich zdemaskować. Nie wyobrażał sobie jednak, że mogłaby cierpieć lub że rabusie mogliby chcieć ją okaleczyć czy nawet zabić. Gdy w końcu dosięgła go ta myśl, zrozumiał, że nie pogodziłby się z utratą Elminy.

- Jak mogłem do tego dopuścić? - desperował. - Przecież po rozgłosie nadanym przez prasę sprawie kupna Szalon powinienem był liczyć się z taką ewentualnością.

Jego francuscy rywale zdobyli się wprawdzie na niewiarygodną zuchwałość, lecz gdy o tym myślał, dochodził do wniosku, że takie rzeczy zdarzały się zawsze, chociaż nigdy ludziom jego stanu. Cyganie kradli konie i zmieniali ich wygląd, by oszukać kupujących i publiczność. Nie pamiętał wszakże, by podobny mu hodowca stracił konia równie znakomitego i cennego jak Szalon. Ogarniała go furia na samą myśl, że cała ta historia znajdzie się w nagłówkach gazet i będą o niej czytać wszyscy zainteresowani wyścigami. I nic na to poradzić nie może.

Nic z wyjątkiem tego, że dopadnie złodziei i odbierze im Elminę.

Osiągnęli skraj parku i ruszyli galopem. Markiz spiał konia ostrogami, aczkolwiek wielki ogier nie potrzebował zachęty. Mężczyzna wiedział, że ściga się z czasem. Zastanawiał się, czy jadący obok Czang odczuwa to samo. Był pewien, że Elmina wzywała go potęgą myśli. Uczyla się tego na lekcjach karate.

- Do diabła! - zaklął pod nosem. - Zabiję tych łotrów za to, co jej zrobili!

Bardzo nieprzyjemny był dla Elminy długi zjazd galopem do kotliny. Mając skrępowane ręce mogła utrzymać się w siodle jedynie za pomocą kolan przyciśniętych mocno do końskich boków. Ramię Berta, obejmujące ją w pasie, sprawiło, że nie rozbiła sobie głowy o koński kark i nie ześliznęła się z końskiego grzbietu. Rabuś rozluźnił uchwyt i pociągnął ją brutalnie do tyłu, sprawiając Elminie ból. A kiedy wjechali na płaski teren, rzekł:

- Mam tego dość! Może który weźmie tę kobietę na swojego konia!

Nikt się nie odezwał, więc Bert dodał:

- Przez nią jedziemy wolniej. A to może być niebezpieczne!

- *C'est vrai!** - wykrzyknął Francuz. - Jedziemy zbyt wolno! Złapią nas! Śpieszmy się, *mes amis! Vite! Vite!**

- Nie dopuścimy przecież, by nas wydała! - rzekł Abe.

- Jasne, że nie! - przytaknął Bert. - Lepiej ją od razu zabijmy. Masz pistolet?

* *C'est vrai* (franc.) - to prawda.

* *Mes amis! Vite!* (franc.) - przyjaciele, szybko!

Zamierzał wstrzymać konia, lecz Abe warknął:

- Nie tu, głupcze! Tam jest rzeka, którą będziemy przekraczać. Wrzucimy jej ciało do wody i mogę się założyć, że znajdą je, gdy my już będziemy na morzu!

- Dobry pomysł! - zgodził się Bert.

Ponaglił konie ostrogami, chociaż i tak jechali bardzo szybko. Elmina pożegnała się z nadzieją. Nie próbowała krzyczeć ani walczyć. Skupiła się, by zaalarmować męża i Czanga. Wiedziała już jednak, że wszystko na nic. Jeżeli ją nawet znajdą, to martwą. „Czy będzie się bardzo martwił? - przemknęło jej przez myśl. - Czy też znajdzie zapomnienie w ramionach lady Carstairs?”

- Ratuj mnie! Ratuj! - krzyczała bezgłośnie, wiedząc, że gruba końska derka i tak stłumiłaby jej wołanie.

Znała strumień płynący po płaskim terenie nieco poniżej toru wyścigowego. Chociaż zimą bywał często wezbrany, o tej porze roku może nie mieć dość wody do ukrycia jej ciała. Zatem każdy, kto wejdzie do strumienia, z łatwością je dostrzeże. Niestety do tego czasu ona będzie martwa. Niewielka to dla niej pociecha, że ją znajdą. Jeszcze raz pomodliła się, rozpaczliwie błagając markiza o pomoc.

- Kocham cię! Kocham! - krzyczała w głębi serca. - Już nigdy się nie dowiesz o mojej miłości... Nie będę mogła ci powiedzieć, że przez całe lata marzyłam i śniłam o tobie!...

Zaraz potem przyszło jej na myśl, że gdyby nawet się o tym dowiedział, nic by to dlań nie znaczyło. Przecież miast wznosić między sobą a mężem barierę powinna była pozwolić mu pocałować się chociaż raz. Miałyby o czym myśleć umierając.

Poczuła, że koniowi ściągnięto wodze, i znów załkała każdym nerwem ciała:

- Ratuj mnie! Ratuj!

I oto z ciemności wyłoniła się piękna twarz markiza. Elmina poczuła, że i Czang jest niedaleko i jego też mogłaby zobaczyć. Niewątpliwie miał rację twierdząc, że myśl jest potężniejsza niż wszystko inne, a właściwie skierowana potrafi dokonać cudów!

- Ratuj mnie! Ratuj! - załkała ponownie, wiedząc, że jest na to za późno.

Bert ściągnął wodze, zeskoczył z konia i wywlókł ją z siodła.

- No, jest rzeka! - wychrypiał. - Nie tyle ją widzę, co słyszę! To co z nią robimy?

- Zastrzel ją - zawyrokował Abe. - Ale nie przez tę derkę na głowie. Jest za gruba!

- Chcesz powiedzieć, że mam ją z tego wymotać? - spytał Bert.

Abe nie raczył odpowiedzieć i Elmina pomyślała, że wyciąga pistolet. Stojąc tam, gdzie ją Bert postawił po zdjęciu z siodła, czuła, jak ciągnie za derkę, w którą była owinięta.

- Ej, Jacques! - zawołał. - Nie mogę sobie poradzić z tym przeklętym powrozem. Ty ją związałeś, to teraz ty rozwiń!

- *Oui, oui!* - zgodził się Francuz. - Dawaj!

Elmina poczuła, że zbliża się do niej ten drugi.

Musiał prowadzić ze sobą konia, gdyż słyszała jego parskanie. Potem zdjęto z niej więzy i Jacques oraz Bert uwolnili jej głowę od ciężaru końskiej derki. Na chwilę doznała ulgi: oddychała oto świeżym powietrzem i czuła jego chłód na policzkach. Mimo ciemności światło księżyca i gwiazd pozwalało widzieć wszystko wyraźnie. W ciągu kilku chwil odzyskała zdolność widzenia i wówczas zdała sobie sprawę, że stoi nad brzegiem strumienia, a trzech mężczyzn patrzy na nią. Rozpoznała Abego, którego przez mgnienie oka widziała w stajni, oraz Berta. Jacques był dokładnie taki, jaki jej zdaniem jest każdy Francuz, mały i ciemny, a przy tym dżokej z zawodu. Wszyscy byli ubrani prostacko i wyglądali na ludzi spędzających życie z końmi.

Abe - jak przypuszczała - wyciągał pistolet. Drugą ręką trzymał lejce Szalon. Klacz stała spokojnie, obojętna na to, co się obok niej dzieje. Wierzchowcem Berta, na którym Elmina jechała, okazał się Wellington, jeden z ulubionych koni myśliwskich markiza. Był niespokojny, jakby rozumiał powagę chwili. Przebierał nogami, aż rozgniewany Bert, trzymający jego uzdę, szarpnął nią ostro, podrywając do góry głowę zwierzęcia. Koń Jacques'a również był bardzo niesforny i Francuz musiał mu poświęcić całą uwagę. Elmina rzuciła mu krótkie spojrzenie i oczy jej powędrowały z powrotem do Abego i pistoletu w jego dłoni. Była świadoma swego dziwnego wyglądu - w czarnej tunice, ze zmierzwionymi włosami rozrzuconymi na ramionach.

Pomyślała, by zaapelować do sumień tych mężczyzn, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że są to przestępcy, dla których życie ludzkie znaczy bardzo niewiele. Traciłaby tylko na próżno czas. I poniżyłaby się. Podniosła więc wysoko głowę.

Nieoczekiwanie odezwał się Francuz:

- *Quelle jolie femme!** Weźmiemy cię ze sobą!

* *Quelle jolie femme* (franc.) - Jaka śliczna kobieta!

Z tonu jego głosu wynikało jasno, o czym myśli, Abe więc rzucił ostro:

- Nie czas na amory! Wkrótce dostaniesz taką forszę, że będziesz mógł sobie kupić wszystkie kobiety Francji!

Jak gdyby słowo „forsa” miało moc argumentu nie do odparcia, Francuz z rezygnacją wzruszył ramionami. Wciąż jednak patrzył na Elminę wzrokiem przyprawiającym ją o dreszcze. Abe odwiódł cyngiel i zapytał:

- Jesteś pani gotowa? Poczujesz tylko lekkie szarpnięcie i nic więcej. To wszystko, co mogę ci rzec.

Zaśmiał się, podniósł pistolet i wycelował. Wówczas Elmina, pchnięta niepojętym impulsem, ruszyła do przodu. Tak szybko i niespodziewanie, że bandyta zbaraniał. Jej stopy dotęły go niczym stalowe klingi. Upadł, instynktownie pociągając za spust. Pocisk trafił w próżnię, lecz huk wystrzału spłoszył konie. Uwolnwszy się gwałtownie z pęt, wszystkie trzy pognały w dół łąki, bijąc o ziemię kopytami. Bert, stojący najbliżej Elminy, rzucił się na nią jednym skokiem. Powalona usłyszała z oddali odgłos kopyt końskich. Inny niż ten, który dobiegał z bliska. Zrozumiała, że markiz usłyszał modlitwę i spieszy na ratunek.

Zjawił się jak wichur w chwili, gdy Abe dźwigał się na nogi, bluzgając plugawymi przekleństwami. Skoczył wprost z konia na bandytę, który już prawie stał, z pistoletem w dłoni. Powalił go na ziemię, a w sekundę potem Czang wylądował na plecach Berta. Nieomylnym ciosem trafił go w szyję. Gdyby Elmina mogła to zobaczyć, wiedziałaby, że posłużył się chwyttem kung-fu.

Ona jednak, leżąc na ziemi, nie spuszczała oczu z męża. Markiz, pozbawiwszy przytomności Abego, podszedł ku niej i podniósł ją. Nie zauważyła więc, jak Czang podbiegi do Francuza i pokonał go tym samym sposobem co Berta. Cały jej widnokład wypełniły wpatrzone w nią oczy męża.

- Nic ci się nie stało? - spytał, a ona, jakby nagle uświadamiając sobie swoje cudowne ocalenie, wybuchnęła płaczem.

Potem, z twarzą ukrytą w jego ramionach, wyjąkała:

- Oni... chcieli mnie... zabić!

Markiz tulił ją do siebie, delikatnie muskając ustami jasne włosy.

- Już dobrze - mówił cicho. - Już dobrze!

- Myślałam, że... że już nigdy cię... nie zobaczę!

- Jestem przy tobie.

Ujął jej twarz i podniósł ku swojej. W świetle księżyca włosy dziewczyny lśniły srebrzyście, a łzy spływały po policzkach. Czarna tunika była w strzępach. Podarła się podczas szarpaniny z nakładającym jej pęta rzezimieszkiem. Markiz patrzył urzeczony: nigdy jeszcze nie wyglądała tak uroczo. Nie potrafił się dłużej powstrzymać. Przyciągnął mocniej do piersi kruche ciało żony i jego usta powędrowały ku jej wargom.

Przez chwilę Elmina myślała, że śni. Potem ogarnęła ją światłość. Poczuli się wolni. Markiz powiedział:

- Zła przygoda skończona. Zabieram cię do domu!

Właśnie nadjeżdżał Hogson z gromadą chłopców stajennych. Markiz czekał na niego, nie wypuszczając Elminy z objęć. Hogson zeskoczył z konia i przyjrzał się trzem drabom leżącym bez życia u stóp pana. Oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu:

- Widzę, że wasza lordowska mość potraktował tych drani tak, jak na to zasłużyli.

- A teraz zostawiam ich tobie, Hogsonie - odparł markiz. - Odstawimy ich później do magistratu.

- Gdyby to ode mnie zależało, milordzie, wszyscy by zawisli - rzekł krewki sługa.

Markiz wskazał końską derkę, leżącą u jego stóp.

- Wymość tym moje siodło - polecił Hogsonowi.

- Tak jest, milordzie.

Stajenny podjął z ziemi derkę, zwinął ją i ułożył na siodle. Wkrótce siedziała tam po damsku Elmina, lekko zakłopotana swym wyglądem. Markiz dosiadł szybko konia i bez słowa ruszył w powrotną drogę.

Z głębokim westchnieniem ulgi młoda kobieta położyła mu głowę na piersi i zamknęła oczy. Trudno jej było uwierzyć w ocalenie - o włos uniknęła śmierci. Gdyby markiz i Czang zjawili się sekundę później, Abe z pewnością zabiłby ją następnym strzałem. Nie tylko jako

niebezpiecznego świadka. Także w odwecie za nokaut. Szybkość, z jaką zadała mu cios, opóźniła egzekucję akurat o tyle, by markiz i Czang przybyli w samą porę.

- Jestem bezpieczna - wyszeptała bezgłośnie.

Jakby słysząc te słowa markiz ciaśniej otoczył ją ramionami. Wciąż nic nie mówił, a ona była z tego zadowolona. Po wstrząsie, który przeżyła, ledwo mogła poruszać ustami. Najważniejsza była jego bliskość: bicie serca, ciepło ciała. Jego obecność.

Wolno wprowadził konia w galop. Zanim wjechali pomiędzy drzewa parku, przyjrzał się Elminie z uwagą i spytał:

- Czy na pewno dobrze się czujesz? Jak mogłaś być tak nieostrożna, by iść nocą do stajni bez opieki?!

- Skąd mogłam wiedzieć... skąd mogłam choćby przypuszczać, że jacyś złodzieje będą próbowali uprowadzić Szalon?

- To się już nigdy nie zdarzy!

Jego wargi były blisko jej ust i zapragnęła, by ją znów pocałował. Spojrzała błagalnie.

- Porozmawiamy o tym w domu - rzekł spokojnie.

Jechali, a jej słabość pod wpływem wzbierającego pragnienia przemieniała się w siłę. Jednocześnie młodą kobietę zaczęła dręczyć obawa, że pocałunek męża był spowodowany chwilowym impulsem i więcej się nie powtórzy.

Przejazd przez park zajął im ledwie kilka minut i oto zbliżali się do frontowych drzwi. Dwaj chłopcy stajenni wybiegli im naprzeciw.

- Hogson może potrzebować waszej pomocy! - zawołał markiz. - Jedźcie tam i weźcie ze sobą cały zwój powroza. Jasne?

- Jasne, milordzie! - przytaknęli żarliwie, zdradzając, jak bardzo pragną być teraz na miejscu akcji.

Dom był pogrążony w ciszy. Mimo dramatycznych zdarzeń nie zbudzono służby. Markiz zdjął Elminę z konia i wniósł po stopniach na ganek, potem do holu i dalej, na górę, cały czas przyciskając ją mocno do serca. Czuła się jak w siódmym niebie. Myślała sobie, że cokolwiek się zdarzy, tę cudowną chwilę zapamięta na zawsze. Była tak blisko niego, a przez jeden czarowny moment całował jej usta.

Dotarli do sypialni. Drzwi były wciąż uchylone. Wniósł ją do środka i, kładąc na łóżku, powiedział czule:

- A teraz odpocznij.

Chcąc go zatrzymać, odruchowo wyciągnęła doń ramiona. Powiedział:

- Wrócę tu za chwilę, aby porozmawiać.

W świetle świec dostrzegł jej uśmiech. Zamknął drzwi prowadzące na korytarz i z sypialni żony przeszedł bezpośrednio do swojej. Ponieważ zapowiedział swój powrót, Elmina pośpiesznie zdjęła podartą tunikę oraz czarne pantalone. Czując się brudna po jeździe w końskiej derce, umyła się szybko zimną wodą. Dopiero potem włożyła koszulę nocną, porzuconą na podłodze.

Wślizgując się do łóżka nie czuła już słabości ani lęku, lecz podniecenie - czekała wszak na wizytę męża. Myślała o tym, jaki jest wspaniały i silny. I że gdyby nie usłyszał jej wołania i nie przybył z Czangiem na pomoc, leżałaby teraz martwa w strumieniu.

Drzwi otworzyły się i wszedł markiz. Miał na sobie długą czerwoną szatę, tę samą co w noc poślubną. Pomyślała, że usiądzie na łóżku i będą rozmawiać. Ale on podszedł do okna i rozsunał obie zasłony. Zobaczyła gwiazdy na niebie i blednący księżyc. Musiała być ledwie trzecia nad ranem, a wydawało się, że wiek upłynął, odkąd weszła na górę, by położyć się spać.

Markiz podszedł do łoża i zgasił świece. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, położył się obok niej. Oniemiała ze zdumienia, a on ogarnął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Czując na sobie ciężar jego ciała, zadrżała.

- A teraz, skarbie mój - powiedział głębkim głosem - możemy porozmawiać o niedawnych zdarzeniach, skoro istotnie tego chcesz. Jeżeli o mnie chodzi, pragnę cię jedynie całować.

- Proszę... całuj mnie! - wyszeptała Elmina.

Podąła mu usta, spragnione i pełne oczekiwania.

Wargi markiza wyszły im naprzeciw niespiesznie, delikatne i tkliwe. Znowu promień światła przeszył ją niby pocisk, gwałtowny i bolesny. Potem usta jego stały się bardziej zaborcze, natarczywe. Pojęła, co by straciła, gdyby umarła, i całą swoją istotą otworzyła mu się w niezwykłym uniesieniu. Gdy całował ją, coraz śmieiej i zachłanniej, poddawała się całkowicie jego pożądaniu. Usta mężczyzny domagały się, nalegały.

Teraz przez ciało Elminy przenikały nie tylko strzały światła. Czuła, jak gdzieś w jej wnętrzu powstaje ciepło, które przeistacza się w żar, ogarniający jej piersi, usta i zlewający się z żarem jego ust w jeden płomień. Nagle pojęła, że i we wnętrzu ukochanego szaleje pożar. I że tego właśnie pragnęła, nie wierząc, że wybuchnie.

Przerwał pieszczoty, by popatrzeć na Elminę. Wtedy wyszeptała:

- Kocham cię... Nic na to nie poradzę... Kocham!

- I ja nie mogłem sobie poradzić z miłością do ciebie!

Poczuła, że chce od niego więcej. A on mówił:

- O to ci właśnie chodziło, najmilsza, bym cię pokochał, jak nigdy nikogo nie kochałem?

No i to się właśnie stało!

- Czy to prawda?... Czy rzeczywiście prawda?

- Sądzę, że wiedziałabyś, gdybym kłamał - odrzekł. - Przysięgam ci na wszystko, w co wierzę, że czuję do ciebie coś całkiem innego, niż kiedykolwiek czułem do kobiety.

Elmina wydała okrzyk szczęścia. Potem spytała:

- Czy jesteś pewny? Czy naprawdę jesteś tego pewny?

- Pragnęłaś takich uczuć i one powstały we mnie już dawno temu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Chciałem być ich absolutnie pewny. Pragnąłem też, byś już poniechała walki ze mną.

Elmina zaśmiała się.

- To przecież karate ocaliło mi życie dzisiejszej nocy... I siła myśli, którą się zajmuje ta przedziwna nauka.

- Czang cię usłyszał. On poprowadził mnie do ciebie.

- Jak to się stało?

- Czang przyszedł do mojej sypialni i powiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie. Poszliśmy do stajni i stwierdziliśmy, że uprowadzono Szalon. A mały synek Hogsona widział, jak zabierano ciebie.

- Zabrali mnie ze sobą, ponieważ widziałam ich twarze - wyjaśniła. - A potem postanowili mnie zabić, gdyż utrudniałam im ucieczkę.

Markiz znów zaczął ją całować, namiętniej, żarliwiej. Jakby chciał uciec od okropnej myśli o tym, co się mogło zdarzyć. Serce jej biło tak gwałtownie, że omal nie straciła przytomności. On zaś przyciągał ją coraz mocniej, słowa stawały się niepotrzebne. W końcu ich ciała, serca i umysły złączyły się w niepodzielną całość. Z dwojga ludzi przeistoczyli się w jedną istotę.

To była miłość, której tak pragnęła. Miłość, przez którą wyraża się absolut.

A gdy uniósł ją do gwiazd, pojęła, że dostała szczęśliwości, której szukała w marzeniach.

Długo potem zbladły gwiazdy, zniknął księżyc i światło brzasku zaczęło wypierać ciemność. Niebo za oknami przybrało kolor włosów Elminy. Markiz, czując ich miękkość pod dłonią, rzekł:

- Nastął świt, moja piękna, i myślę, że jest to również świt naszego nowego życia we dwoje.

- Czy dla świtu rozsunałeś zasłony?

- Chciałem, abys poczuła, że najpierw należałaś do gwiazd, potem zaś do słońca - odparł czule. - I chociaż spotkało cię coś przykrego i niedobrego, możesz już o tym zapomnieć.

- Skąd ci przychodzą do głowy myśli tak piękne, tak urzekające? - wykrzyknęła w uniesieniu.

- To ty mnie nimi karmiłaś. Ty i Czang. Wiem teraz, jak wiele jeszcze muszę się nauczyć, ile jeszcze rzeczy poznać.

- Nie ode mnie - roześmiała się Elmina. - Ja jestem twoją uczennicą i wiesz dobrze, że zawsze będziesz moim mistrzem.

- Ja będę cię chętnie uczył miłości, moja cudowna żono - zgodził się. - Lecz jeśli chodzi o wszystkie inne sprawy, takie jak gwiazdy na niebie, ty będziesz moją przewodniczką oraz inspiratorką.

- Czy potrafię nią być?

- Od dawna nią jesteś. Już przy pierwszym naszym spotkaniu miałem wrażenie, że znamy się od lat, nie, od stuleci. Odmieniłaś mój sposób myślenia. Wiem teraz, że nasze wspólne przyszłe życie będzie przygodą, którą ty niewątpliwie nazwiesz wyzwaniem.

Elmina wzięła głęboki oddech. Tak, tego właśnie chciała dla markiza. Tylko to mogło go uchronić przed nudą i wyniosłością. Przysunęła się trochę bliżej do męża i rzekła:

- Tak wiele muszę się jeszcze dowiedzieć o miłości... Nie wiem, czy wszystko będzie cudowne... choć podejrzewam, że może być takie jak... to.

- Jak co? - spytał.

- Jak być wysoko na niebie pośród gwiazd lub unosić się ku słońcu.

Przycisnęła policzek do jego muskularnego ramienia, szepcząc:

- Gdy mnie pieściłeś, czułam ogień w piersiach.

- To ty mnie rozpaliałaś, moja śliczna.

Za oknami pojaśniało. Widział ją teraz wyraźniej, całując długie włosy opadające na czoło.

- Jak to się dzieje, że tak bardzo różnisz się od innych? - spytał. - Nie tylko swym zachwycającym wyglądem. Także sposobem odczuwania i myślenia.

- Bo chcę być inna... dla ciebie - odparła impulsywnie.

- Ty jesteś inna. Napiszę wiersz, namaluję obraz, skomponuję muzykę o twojej inności, gdyż brak mi słów na wyrażenie uczuć, które we mnie budzi.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Mówię, bo to jest prawda. - Dostrzegł łzy w jej oczach i zaniepokoił się: - Kochanie moje, co ja takiego powiedziałem, że płaczesz?

- To są łzy szczęścia. Nigdy dotąd nikt mnie nie kochał. Nikt nigdy nie mówił mi tak cudownych słów. Do końca życia ich nie zapomnę!

- Powiem ci ich o wiele więcej - obiecał. - A przy okazji wyznam, że fakt, iż je wypowiadam, jest i dla mnie niezwykły.

Dostrzegła, że próbuje śmiać się z samego siebie, objęła więc jego głowę i przyciągnęła do serca.

- Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, jeszcze jako mała dziewczynka - wyszeptała.

- Ale marząc i śniąc o tobie przez wszystkie te lata, nie miałam pojęcia, że jesteś taki dobry, taki wspaniały i szlachetny.

- Obawiam się, że mi schlebiasz - rzekł zakłopotany. - Niemniej taki właśnie chcę być dla ciebie, jedyna.

- A zatem naucz i mnie być żoną z najskrytszych marzeń, abym cię nigdy nie rozczarowała.

- Nigdy mnie nie rozczarujesz. Zaskakiwałaś mnie, zdumiewałaś i zachwycałaś od pierwszej chwili naszego małżeństwa. Teraz zaś wyruszamy w podróż odkrywczą, ty i ja. W podróż, która zaczyna się w naszych myślach i kończy w naszych myślach. Która będzie trwała przez całe nasze obecne życie i przez każde następne, aż osiągniemy wieczność.

Elmina wydała okrzyk zdumienia.

- Ależ to jest sedno mądrości tkwiącej u podłoża karate. To jest to, w co wierzą mnisi buddyjscy... I dzięki temu wiem, że dokądkolwiek nas zaprowadzi nasza podróż odkrywczą, znajdziemy to, czego szukamy.

- Znajdziemy to... razem.

Przytulił ją mocniej, jakby rozmowa ta podniecała go nie tylko intelektualnie, ale i fizycznie. Gładził delikatnie jej ciało, całując usta, oczy i policzki, zatapiając wargi w miękkości

jej szyi. Czuł, jak drży pod wpływem nowych doznań, i starał się, by każde jego dotknięcie wprawiało ją w zachwyty i uniesienie.

Teraz ona przywarła do niego. On zaś wpatrywał się w jej twarz, próbując przeniknąć głębię oczu.

- Uwielbiam cię, moja niezwykła żono! - rzekł tkliwie.

Gdy i ona wzrokiem wyraziła uwielbienie, dotknął ustami jej warg. Wtedy znów całą swą istotą rozżarzyła się ku niemu niczym ogień, który się wymknął spod kontroli. O wschodzie słońca ogarnął ich i pochłonął promienisty blask: miłość, która jest jak wieczność - bez początku i bez końca.



TLR